





ARTUR GÓRSKI

POWRÓT MORALNOŚCI ESTETYCZNEJ

Żyjemy w czasie wielkich bankructw idei, które niedawno poruszały umysły, wywoływały Jesień Ludów*, były natchnieniem poetów. W miarę rozczarowań do życia społecznego i jego typowego produktu, tj. do współczesnego filistra, rwały się więzy między jednostką a tymże społeczeństwem, wzrastała niechęć i protest przeciw tym wszystkim objawom duchowym, jakie w tym gminowładzie zmaterializowanego „obywatela” znajdowały swe źródło. Umysły wrażliwsze i głębsze, straciwszy szacunek dla filistra i sympatie do ruchów społecznych, poczęły wycofywać się z życia i szukać innych, trwalszych jego wartości. Zwrócono się do ludzkiej duszy oderwanej, poczęto cenić indywidualność jako takie, jako osobny, w sobie zamknięty świat i swoim najwyższym prawom podległy. Odbyło się w nowszej literaturze współczesnej jakby nowe odkrycie duszy; spostrzeżono, że poza zewnętrznym jej życiem istnieją całe głębie nie objęte światem dziennym, całe tłumy uczuć i przeczuć, które nigdy w gwarze życia nie przychodzą do głosu.

I tak nastąpił szybko gruntowny „przewrót wartości”. Na miejsce masy stanęła indywidualność jako najwyższa wartość i godność na ziemi, na miejsce etyki społecznej etyka duszy, moralność estetyczna. Rozpoczęła się równocześnie reakcja przeciw materializmowi i naturalizmowi w literaturze, która w tej formie swojej zdemokratyzowała się, przyczyniła się do wzrostu demokracji, ale przez swoje pozytywne poglądy i zewnętrzne pojmowanie świata wyjałowiała i straciła urok. Powstały nowe prądy literackie i artystyczne. Niejednolite, nie ujęte w jedno łożysko, ale to mające ze sobą wspólnego, że wszystkie one były opozycją przeciw metodzie przedmiotowej i materialistycznemu pojmowaniu ludzkiej duszy. (...)

Tak powstała literatura „nagiej duszy”, obranej z szat czasu i pozostawionej przed oczy

artyści w całej swojej piękności i grozie. Miała ona ogromny szacunek dla tych uczuć, które wiodą życie w głębi i nie wychylają się na próg świadomości, przywracała godność tej duszy ludzkiej, której teorie „środowiska” odebrały samoistość i wielkość, a gdy trącała o harfę zmysłów, to dobywała z niej nie brutalne, zwierzęce, lecz szlachetne i przepychem lśniące melodie. (...)

Kochamy wszystko, co rodzime, wierzymy w wielką przyszłość naszego narodu, a najgorętszym naszym pragnieniem - być podnóżkiem chwały tej Ojczyzny, której służyć chcemy ostatnim uderzeniem serca. Kochamy wszystko, co się poświęca i co cierpi w milczeniu za błędy swojej szlachetności i jesteśmy zawsze z tymi, co z zaduchu kruchcianego, z bijatyki życia wznoszą się na szczyty ducha, gdzie nie dobiega wzrok codzienny, nie dosięga ślina potwarzy i gdzie dolatują samotne, dumne orły.

Młoda Polska, 1898 (fragment).

*W oryginale, oczywiście: Wiosnę Ludów (przyp. red.).





ROBERT KONCA

* *
*

Jakie są wieczory
W tym krajobrazie ze snu
Którego granic przekroczyć nie mogę

Zawsze widzę ten sam pejzaż
Zatopiony w purpurowym świetle
Dwóch zachodzących słońc
Wielowymiarowy obraz zastygły
Pomiędzy chwilą skończoną
A jeszcze nie zaczęta
Który ożywa wtedy
Gdy ja budzę się gdzie indziej

Czy kryształowe miasto
Otwiera swoje hotele
Dla księżyca

Czy rzeki można przelewać na dłoń
I smakować jak wino

Czy delfiny błogosławią światu
Tańcem srebrnych płetw
I znikają jak święci
W głębinach nieba

Czy ta postać
Rozpostarta nad widnokretem
To Ty
Pielęgnowująca swoje piękno
W strumieniu gwiazd...



IZABELA KOCZKODAJ

ABSINTHIUM ABSOLUTUM?

*Pijmy, mądrzy pielgrzymi,
Absynt zielenią się ścielę.¹*

Adolf Nowaczyński wyodrębnił swego czasu specjalny gatunek człowieka, który określił jako *gladiolus tavernalis*. Ów „mieczyk kawiarniany”, jak sama nazwa wskazuje, wyróżniał się przede wszystkim zamiłowaniem do egzystencji stadnej, wiedzionej na terenie kawiarni. *Gladiolus tavernalis*, niczym dziennikarz Jelsky, bohater powieści *Próchno* Waława Berenta, wołał „Kawiarni!” nie tylko wtedy, kiedy potrzebował chwili odprężenia, ale również, gdy czuł się skonfundowany czy zagubiony, czy chciał się na czymś skoncentrować lub coś przemyśleć... W kawiarni na przełomie XIX i XX wieku prowadziło się dyskusje o życiu i sztuce, tu się pracowało, tu zapadały kluczowe dla narodzin polskiego modernizmu decyzje. Ale przede wszystkim - w kawiarni się piło.

„Nadużywanie alkoholu jest świadomym i zamierzonym elementem obyczajowości cyganeryjnej, jedną z cech konstytuujących cyganerię” - stwierdza J. A. Malik.² Alkoholizm artysty-cygana był czymś więcej niż tylko nałogiem: był policzkiem wymierzonym „praworządному”, filisterskiemu społeczeństwu, gestem artystycznej niezawisłości. Nic więc dziwnego, że z picciem nie kryli się nie tylko prawdziwi artyści, ale również owi kawiarniani „satelici”, tak zwani „improduktywi”, którzy, sami nic nie tworząc, częstokroć zapładniali artystycznie jednostki predestynowane do działania. O jednym z takich „gestów artystycznej niezawisłości” pisze T. Weiss: „Wyłudził mianowicie Przybyszewski od Gabryelskiego, człowieka ponoć dość skąpego, pożyczkę. I natychmiast, na oczach wierzyciela, w manifestacyjny sposób zmarnotrawił całą sumę, łącząc od knajpy do knajpy, zamawiając po dwa-

dzieścia butelek szampana, które pozostawiał niedopite, by w kolejnej knajpie zamówienie powtórzyć. Zmarnotrawił, nawet nie przepił tych pieniędzy. Gest był wyraźnie wobec Gabryelskiego-filistra manifestacyjny...”³ Zresztą, Stanisław Przybyszewski, jak chyba żaden z polskich pisarzy przełomu wieków, poznał blaski i cienie picia ostentacyjnego. Niezwykle szczerze wypowiadał się na ten temat w spisywanych pod koniec życia wspomnieniach *Moi współcześni*, gdzie znaleźć można obszerny ustęp na temat *vin gai* (alkoholu, który podnieca, rozwesela, bez którego życie towarzyskie byłoby nieraz wręcz niemożliwe) oraz *vin triste* alkoholu-narzędzia w arsenale szatana, trzymającego pijącego w morderczych kleszczach nałogu.⁴

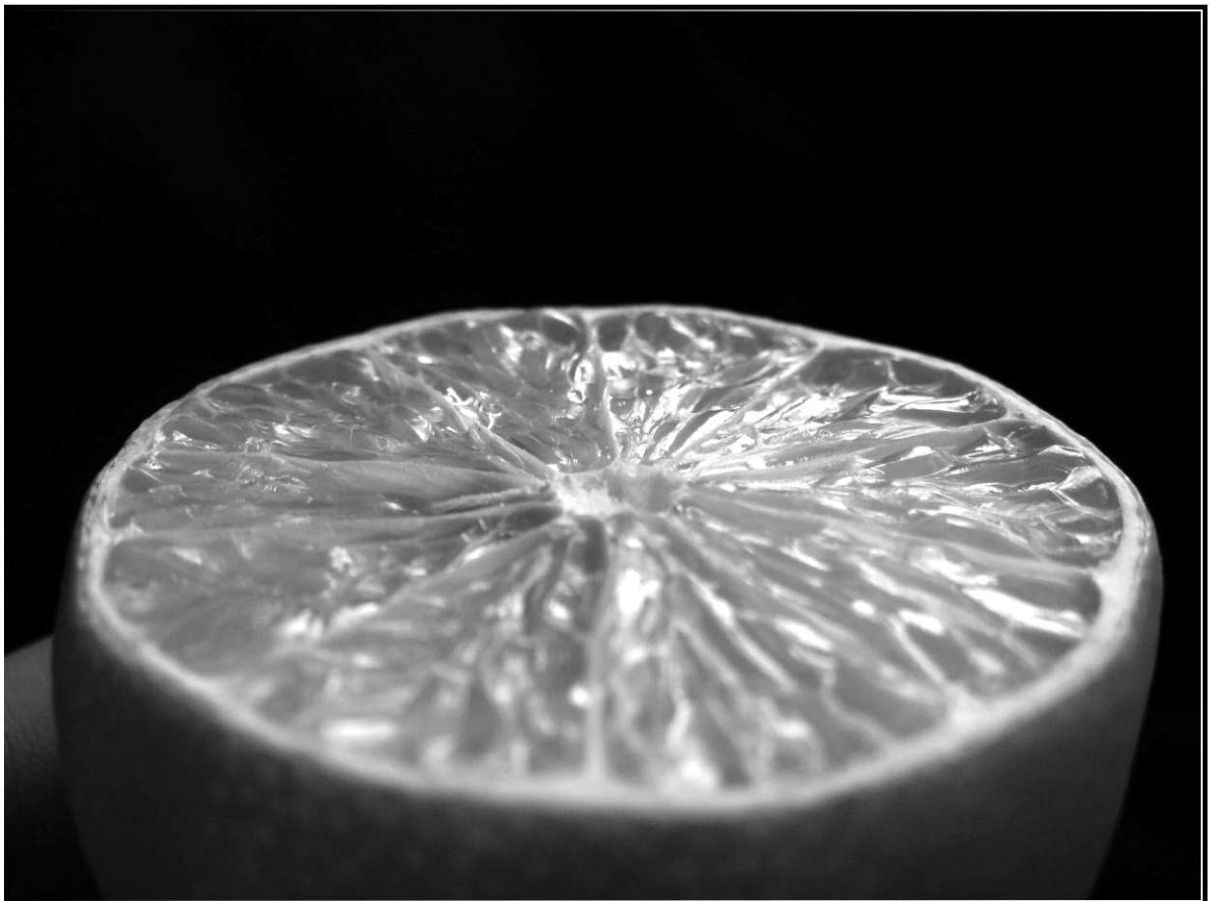
Za sztandarowy trunk bohemy artystycznej *fin de siècle'u* powszechnie uważa się absynt. Ojczyzną tego alkoholu, początkowo reklamowanego jako środek leczniczy, jest Szwajcaria. Legendę absyntu, określanego również mianem „zielonej wróżki” ze względu na zielone lub zielonożółte zabarwienie (choć produkuje się także absynty bezbarwne), podsycano powszechnie panujące przekonanie o jego właściwościach halucynogennych. W istocie, nie ma dowodów na to, by absynt był trunkiem bardziej uzależniającym czy szkodliwym od innych wysokoprocentowych napitków. Niemniej jednak, niesprawiedliwe oskarżenia doprowadziły w 1915 roku do uchwalenia ustawy o zakazie sprzedaży i wytwarzania absyntu w większości państw europejskich oraz USA (zakaz zniesiony został dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku). Ostatecznym argumentem, przemawiającym za wyniszczającym działaniem

absyntu, stało się słynne „absyntowe morderstwo” popełnione w 1905 roku w Szwajcarii: alkoholik Jean Lanfray, wypijwszy dwie szklaneczki absyntu (oraz, o czym nie chciała pamiętać szczególnie niechętna „zielonej wróżce” Liga Antyalkoholowa, *creme de menthe*, koniak, siedem szklanek wina, dwie filiżanki kawy z brandy i litr wina), zastrzelił ciężarną żonę, dwoje swoich dzieci, a w końcu popełnił samobójstwo.

Absynt, jak chyba każdy trunek kultowy, miał swoje ceremonie. Około godziny piątej po południu rozpoczynała się *l'Heure Verte* „zielona godzina”, którą uznać można za karykaturę mieszczańskiej *five o'clock*. Oryginalnie, absynt przed spożyciem poddawany był tak zwanemu „rytuałowi wody”: na wierzchu szklanki z trunkiem kładło się specjalną, wyposażoną w otwory łyżkę z kostką cukru.

Następnie przelewało się bardzo powoli z karafki wodę przez cukier, tak, by każda kropla wody wpadająca do trunku zamieniała się w białą linię, tworzącą na dnie charakterystyczne dla absyntu zmętnienie; tak tańczyła w szklance „zielona wróżka”.⁵ Nowszy i znacznie bardziej spektakularny „rytuał ognia” nijak się ma do *fin-de-sicle'owych* tradycji spożywania absyntu.

Wbrew pozorom, literackie obrazy poświadczające powszechne uwielbienie artystów dla absyntu są stosunkowo nieliczne. Nie ma absyntu ani w tak ważnej apologii życia bohemy, jaką są *Sceny z życia cyganerii* Henryka Murgera, tylko nielicznych wzmianek na temat tego trunku doszukać się można w poezji francuskich „poetów przeklętych”. Owszem, pija się szampana, wino „bordo” (u Baudelaire'a znajdujemy cały cykl poświęcony temu



trunkowi: *Dusza wina*, *Wino galganiarzy*, *Wino mordercy*, *Wino samotnika*, będący zarazem znakomitą charakterystyką rozmaitych typów ludzkich), likiery, poncz, Rimbaud wspomina „bomby piwa...”.⁶ Podobnie jest i w „cyganeryjnej” literaturze polskiej: motyw absyntu wcale nie pojawia się częściej od wzmianek poświęconych innym trunkom. Dla przykładu: we wspomnianym na początku tego szkicu *Próchnie* bohaterowie pijają piwo, koniak (który określa się jako „napój mistyczny: nalewkę na sumieniach samobójców”⁷), wódkę (slogan „wino, kobieta i śpiew” zastąpiony został w młodopolskiej kawiarni przez inny frazes: *wódka, prostytutka i nastrój*, jak konstatuje Jelsky⁸), wino, szampana; absynt pojawia się tylko raz – dwie jego porcje zamawia aktor Borowski. Imponującą apologię absyntu wygłasza podmiot liryczny wiersza Antoniego Langego *Idź i pij absynt* (utwór jest, nawiasem mówiąc, częścią cyklu poetyckiego *Ballady pijackie*): „Idź i pij absynt! W jego czarów kole / Zapomnisz życie swe nędzą brzemiennie”.⁹

Dlaczego więc przede wszystkim absynt kojarzony jest z cyganerią artystyczną? Odpowiedzi może być kilka. Po pierwsze, „misteryjny” sposób spożywania tego alkoholu, wymagający czasu oraz posługiwania się specjalnymi akcesoriami, odstraszał ceniących każdą minutę swojego życia mieszczan i zapracowanych robotników. Picie absyntu budowało wspólnotę „cyganów” – ludzi zwykle niezakorzenionych w rytuale tak zwanej „codzienności” (powyższe stwierdzenie nie odnosi się wszakże do Francji, gdzie absynt w okresie *Belle Époque* był znacznie popularniejszy niż w innych krajach i gdzie pijali go wszyscy). Po drugie, intrygować musiała boheme legenda i postać „zielonej wróżki”: oto główny składnik absyntu, tujon, podejrzewano o powodowanie stanów podobnych stanom narkotycznym, tak wielce pożądanym przez artystów-amatorów wdarcia się do królestwa Niedostępnego.

Po trzecie, właśnie z powodu domniemych właściwości zmieniających percepcję absynt irytował „obrońców moralności” znacznie bardziej niż jakikolwiek inny trunek, co z pewnością przyciągać doń musiało wszelkiej maści „mieczyki kawiarniane”. Po czwarte, w środowisku, w którym nadużywanie alkoholu bywało powodem do snobowania się („Świątecznego cała ambicja polega na tym, żeby uchodzić za moralnego truposza. Pozuje między innymi na pijaka, którym nie jest” powie bohater „cyganeryjnej” noweli Sienkiewicza¹⁰), podejrzany o bycie wyjątkowo uzależniającym absynt siłą rzeczy musiał stać się napojem pożądanym. Po piąta wreszcie: i w tym wypadku okazało się, że owoc zakazany smakuje najlepiej – zwłaszcza wśród tych, którzy uważali się za „zakazanych” członków społeczeństwa. Nic więc dziwnego, że „zielona wróżka” zwiodła między innymi Baudelaire’a, Wilde’a, Picassa...

¹ A. Rimbaud, *Komedia pragnienia. Przyjaciele*, tłum. K. A. Jaworski, [w:] A. Rimbaud: *Wiersze*, wybór, oprac. i posłowiem opatrzył A. Międzyrzeczki, Kraków 1993, s.139.

² J. A. Malik, *Adolf Nowaczyński. Między modernizmem a pozytywizmem*, Lublin 2002, s. 39.

³ T. Weiss, *Cyganeria Młodej Polski*, Kraków 1970, s. 65.

⁴ Zob. St. Przybyszewski, *Moi współcześni*, wstęp J. Wilhelmi, Warszawa 1959, s. 307-313.

⁵ Zob. <http://www.absynt.yoyo.pl/>, stan na dzień 13.12.2007.

⁶ A. Rimbaud, *Romans*, tłum. J. Iwaszkiewicz, [w:] tegoż: *dz. cyt.*, s. 29.

⁷ W. Berent, *Próchno*, oprac. J. Paszek, Wrocław 1979, s. 222.

⁸ Zob. tamże, s. 240.

⁹ Za:

http://zyjzdrowo.pl/index.php?pd=prasa&d=mednat&dzial=mednat&link=view_single&genid=c9cf4e6f6c5779513aec4ba3519c2e18&title=Historia+polskiego+pijanstwa, stan na dzień 14.12.2007.

¹⁰ H. Sienkiewicz, *Ta trzecia*, Warszawa 1969, s. 7.





KAROL BAUDELAIRE

Spleen

Kiedy niebo, jak ciężka z ołowiu pokrywa,
 Miażdży umysł złej nudzie wydany za łup,
 Gdy spoza chmur zasłony szare światło spływa,
 Światło dnia smutniejszego niżli nocny grób;

Kiedy ziemia w wilgotne zmienia się więzienia,
 Skąd ucieka nadzieja, ten płochliwy stwór,
 Jak nietoperz, gdy głową tłukąc o sklepienie,
 Rozbija się bezradnie o spleśniały mur;

Gdy deszcz robi ze świata olbrzymi kryminal
 I kraty naśladują gęstwę wodnych smug,
 I w mym mózgu swe lepkie sieci porozpinał
 Lud oślizgłych pajaków - najwstrętniejszy wróg;

Dzwony nagle z wściekłością dziką się rozdzwonią,
 Śląc do nieba rozpaczą szalejący głos
 Jak duchy potępieńców, co od świata stronią
 I nocami się skarżą na swój straszny los.

A w duszy mej pogrzeby bez orkiestr się włoka,
 W martwej ciszy nadziei tylko słyhać jęk,
 Na łbie zaś mym schylonym, w triumfie, wysoko,
 Czarny sztandar zatyka groźny tyran - Lęk.

Przekład Bolesław Wieniawa Długoszowski



DARIUSZ MAGIER

PRO FIDE ET LIBERTATE. 240 ROCZNICA KONFEDERACJI BARSKIEJ

„Przysięgam Panu Bogu w Trójcy jedynemu, Najświętszej Pannie Marii niepokalanie poczętej i wszystkim świętym, osobliwie patronom Korony Polskiej i Tobie, głowo Kościoła, Ojczyźnie Świętej, papieżu rzymski, na to, jako tego sekretu sprzysiężenia na obronę wiary świętej katolickiej rzymskiej użytego, osób, miejsca zjazdów i wszelkich lekkomyślności nikomu, bądź nawet najprzyjaźniejszej osobie tak płci męskiej jak i białogłowskiej, nie wydam i nie wyjawię, i wiary świętej rzymsko-katolickiej nie odstąpię, ale aż do utraty ostatniej życia mego jej bronić sercem i orężem będę, aż do wspólnego jej w moim kraju ocalenia i ugruntowania ...” – te słowa zaprzysiężenia członków dla sprawy konfederacji, zwanej barską, często przytaczane są dla wyjaśnienia celu jej zawiązania. Właśnie mija 240 rocznica podpisania aktu konfederacji.

Nadaje się ówczesnej Polsce etykietę „Rzeczypospolitej Anarchii” i jest to spostrzeżenie trafne. Od Sejmu Niemego (1717) państwo jest bezsilne w sprawie jakichkolwiek reform. Na olbrzymim obszarze przekraczającym 730 tys. km² nieustannie ścierały się sprzeczne interesy obu części składowych monarchii, a elekcyjne igrzyska były świętą rekojmią dla zabaw obcych dyplomacji europejskich. Ku upadkowi ścigała kraj „złota wolność”, działalność Sejmu paraliżowała liberum veto, a prawo dopuszczało zawiązywanie konfederacji przeciwko własnemu królowi. Wciąż brakowało centralnego skarbu, a armia królewska liczyła raptem 12 tys. ludzi. W Europie chyba już tylko polska szlachta zdawała się nie dostrzegać, że Rzeczpospolita z wolna staje się rosyjskim protektoratem. Dowodem tego była również ostatnia elekcja, kiedy to caryca Katarzyna II przeforsowała kandydaturę Stanisława Augusta Poniatowskiego, a pole elekcyjne otoczone zostało przez żołnierzy rosyjskich oraz dworaków Czartoryskich – frakcji popieranej przez Rosję. 6 września 1764 roku szlachta zgromadzona w owym

„kotle” jednogłośnie obwołała królem Stanisława Augusta. Jednakże nowy król, ten „kosmopolita łatwo ulegający wpływowi”, doskonale zdawał sobie sprawę z przyczyn wewnętrznej słabości swego kraju i – być może – byłby uczynił coś w kierunku poprawy sytuacji, gdyby w Petersburgu nie zwyciężył jednak pruski pogląd, że dla dobra Rosji Polska musi być jak najsłabsza. Dopilnować tego miał ambasador rosyjski w Warszawie, książę Mikołaj Repnin, który jedyną możliwość realizacji planów Imperium widział w bezwzględnym popieraniu idei złotej wolności wśród polskiej szlachty. Typowym przykładem jego działalności była tzw. sprawa dysydencka, której bezpośrednią przyczyną było zawiązanie konfederacji barskiej. Wyznanie rzymsko-katolickie było w ówczesnej rzeczywistości religią mniejszości (duża liczba protestantów wśród szlachty i mieszczaństwa oraz prawosławne Wielkie Księstwo Litewskie i ziemie ruskie) i chociaż była to mniejszość rządząca, nie notowano przypadków prześladowań religijnych. W tej religijnej różnorodności mieszkańców Rzeczypospolitej Obojga Narodów kraje ościenne dojrzały możliwość destabilizacji sytuacji wewnętrznej, tym bardziej, że dwór pruski był protestancki, a rosyjski – prawosławny. Do prawnego zrównania wyznań zapalił się także Stanisław August, widząc w tym krok ku nowym prądom oświeceniowym, którym hołdował. Zanarchizowana szlachta podzielona została jeszcze bardziej: na zwolenników i przeciwników reformy, przy czym Repnin kontrolował obie frakcje. Jednych kusił równością praw, drugim dawał do zrozumienia, że Rosja nie będzie sprzeciwiać się detronizacji króla, który depcze szlacheckie swobody. To przyniosło efekty. W 1767 roku w Toruniu zawiązała się konfederacja protestantów (nb. zainicjowana przez rosyjskiego oficera), a w Słucku konfederacja prawosławna. Odpowiedzią strony katolickiej było zainicjowanie ruchu o charakterze znacznie

szerszym, który wkrótce przerodził się w konfederację generalną i objął cały kraj. Jesienią 1767 roku Repnin uznał, że sytuacja dojrzała do dalszych działań. Nadzwyczajne posiedzenie Sejmu (tzw. sejm repninowski) uchwaliło pełnię praw dla dysydentów oraz „prawa kardynalne” – potwierdzenie pełni wolności szlacheckich, główne bariery wewnętrzne wszelkich reform. Jednocześnie aresztowani zostali najzagorzalsi zwolennicy konfederacji katolickiej: bp krakowski Kajetan Sołtyk, bp kijowski Józef A. Załuski, hetman Wacław Rzewuski oraz jego syn Seweryn. Pozostali przywódcy opozycji opozycji, m.in.: podkomorzy różański Michał Krasiński, starosta warecki Józef Pułaski oraz przedstawiciele rodów Potockich, Sapiehów i Krasińskich udali się do Baru, gdzie w lutym 1768 roku ogłosili Akt Konfederacji Barskiej. Marszałkiem Konfederacji ogłoszono Michała Krasińskiego. W trosce o ideowe oblicze ruchu ściśle grono dowódcze konfederacji powołało Zakon Kawalerów Krzyża Świętego, który miał osobiście kierować poczynaniami sprysiężenia. Hasłem barżan staje się zawołanie: „Jezus Maryja!”. Trudno jest

ocenić istotę konfederacji barskiej. Niewątpliwie znaczna część jej zwolenników walczyła o partykularne cele, których idea była przedłużenie anarchii. Jednakże kryła się pod nią przede wszystkim chęć wywalczenia wolności, rozumianej jako niepodległość i suwerenność. Skomplikowana była dusza ówczesnej polskiego szlachcica, rozpasanego w swym sarmatyzmie, ale także wiernego Rzeczypospolitej, katolicyzmowi i polskim tradycjom. Właśnie postulaty polityczne kryły się najprawdopodobniej pod słowami: „zabieramy się do obrony wiary i godności”, wyrażonymi w dalszych słowach tekstu Aktu Konfederacji Barskiej. Trzeba zaznaczyć, że już od pierwszych dni istnienia Konfederacji dał się zauważyć jej militarny charakter. 4 marca 1768 roku, w dzień św. Kazimierza – patrona rycerstwa polskiego, powołano związek wojskowy w służbie konfederacji, na którego czele stanął Józef Pułaski. Wojska konfederacji pieczętowały się białym orłem z pałaszami w szponach i wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa na jego piersi, a żołnierze mieli odznaki zawierające słowa: „Pro fide et libertate” (Za wiarę i wolność)



Porwanie Stanisława Augusta przez konfederatów

przywieszono do lewych boków. Przyznać trzeba, że nie byli to wytrawni gracze polityczni, a i doświadczenia wojskowego nierzadko im po prostu brakowało. Wydaje się, że bardziej zdawali się na łaskę Bożą niż określone plany strategiczne, jednakże wybór miejsca zawiązania sprzysiężenia wskazuje, że pomocy oczekiwali od Turcji. Dojrzałym posunięciem było natomiast wystąpienie pod religijnymi sztandarami, co spowodowało ściągnięcie do konfederacji mas drobnej, konserwatywnej szlachty, na której zmysły oddziaływać musiało hasło obrony wiary. Pod płaszczem tego spontanicznego wybuchu kryła się duma narodowa wielkiego narodu, którego ojczyzna stała się igraszką obcych rządów. Nieodłącznym elementem ideologii barżan był wrogi stosunek do króla Stanisława Augusta, którego nienawidzono na równi z Repninem i uważano za sprawcę wszystkich nieszczęść („Ciołek posłuszny Katarzynie, dążący do tyranii”).

Pierwsze miesiące nie były dla konfederacji zbyt korzystne. Po kilku niefortunnych potyczkach na Podolu i Ukrainie wojska rosyjsko-królewskie obległy Bar i zdobyły go w czerwcu 1768 roku. Resztki konfederatów wraz z dowództwem schroniły się w Turcji. Wydawało się, że upadek ruchu jest przesadzony, gdy jego idee odżyły nagle na innych ziemiach Rzeczypospolitej. Objął on Małopolskę, Litwę, Wielkopolskę, Krakowskie, Lubelskie i Polesie. W 1769 roku punkt ciężkości sprzysiężenia przeniósł się na Śląsk, gdzie powołano nowe kierownictwo – Radę Generalną Stanów Skonfederowanych, tzw. Generalność. Ale okres Generalności nie był już tym samym żywiołowym wystąpieniem „za wiarę i wolność” z początków 1768 roku, kiedy to beztrasko i dziarsko śpiewano: „Marsz Polacy, marsz do broni

Gdy nas Moskwa zewsząd goni
Stanąć mężnie przy Bellonie
Nie dajcie Polskiej Koronie
Wpaść w ohydę...”

Sprzysiężenie przerodziło się w walkę magnackich koterii o prywatne wpływy i korzyści po hipotetycznym obaleniu Stanisława Augusta. W październiku 1770 roku Generalność uchwaliła detronizację

króla, licząc, że na terenach południowej Polski, które opanowała, można będzie przeprowadzić nową elekcję. Akt detronizacji głosił m.in.: „Podnieście ramię, w krwi deklarowanego przyjaciela Moskwy, a kraju nieprzyjaciela, tyrana Stanisława Poniatowskiego, zmyjcie hańbę i obelgę narodu” i chociaż słuszny w swym założeniu, przyniósł powstaniu więcej kłopotów aniżeli korzyści. Król, który dotychczas był niezdecydowany i gotowy do kompromisu, teraz przystąpił do bezwzględного tłumienia konfederacji. Poza tym, w łonie samych konfederatów detronizacja wprowadziła chaos, gdyż było wśród nich wielu, którzy walczyć chcieli tylko przeciwko Rosji, królowi zaś byli przychylni. Zniweczono więc jedno-myślność członków sprzysiężenia, a próba zamachu na życie Stanisława Augusta w listopadzie 1771 roku rzuciła cień królóbójstwa na ideę walki o wolność.

W tym czasie konfederacja już dogorywała. Ostatecznie dobiło ją ogłoszenie aktu pierwszego rozbioru Polski, kiedy to wielu dowódców zawiesiło swoją działalność. W maju 1772 roku na ziemie objęte rządami Generalności wkroczyły wojska austriackie, a powstanie pogrążyło się w zupełnym chaosie. Ostatnim bastionem obrońców, kolejny raz, staje się Częstochowa, a jej obroną kieruje Kazimierz Pułaski, syn jednego z przywódców, prawdziwy talent militarny zrodzony w trakcie tej wojny. Jasna Góra padła 18 sierpnia 1772 roku, a koniec walk dał początek prześladowaniom barżan. W końcu XIX wieku A. Kraushar pisał: „Pędzono tłumy szlachty pobranej na polach bitew, towarzyszyów konfederacyi barskiej [...] w głąb Rosji, za Ural, na Syberię, do Kamczatki i do Kopalń Nerczyńskich...” (A. Kraushar, Konfederaci barscy na Syberii, Kraków 1895).

Konfederacja barska od początku budziła kontrowersje, a spojrzenie na nią zmieniało się na przestrzeni lat kilkakrotnie. Oscylowało od uczuć uwielbienia w okresie romantyzmu, poprzez sceptycyzm pozytywistów i koniunkturalne zapomnienie w czasach rządów komunistycznych. Pewnym jest jednak, że określając źródło sprzysiężenia ciemnotą i



Pułaski w Barze. Mal. K. Szlegiel

zacofaniem, które przyczyniły się do rozbioru Polski jest niesłusznym uproszczeniem. Idąc tym tropem można by dojść przecież do przekonania, że przyczyną kolejnego rozbioru było powstanie kościuszkowskie, a trzeciego – Konstytucja 3 Maja. Barżanie stworzyli hasło niepodległości, była więc konfederacja szkołą uczuć patriotycznych, którym to hasłem posługiwać się będzie odtąd wiele kolejnych pokoleń polskich patriotów. Powstanie wyrwało szlachtę z politycznego i ideologicznego marazmu epoki saskiej, ożywiło bojowego ducha i wyzwoliło naród polityczny spod autorytetu magnaterii. Odtąd cnotami bardziej znaczącymi w Polsce będą już nie duma i bogactwo magnackie, lecz odwaga i gotowość do poświęcenia życia ojczyźnie. Ponadto ruch przyczynił się do obnażenia rzeczywistych celów Rosji i Katarzyny II. Przebieg konfederacji barskiej podobny jest

do późniejszych zrywów niepodległościowych, charakteryzowały go cechy, które później pojawią się w czasie powstania listopadowego i styczniowego, takie jak: oczekiwanie na pomoc mocarstw, emigracja po klęsce oraz zesłania na Syberię. Konfederacja barska była też szkołą wielu słynnych dowódców, którzy zabłądzą później w powstaniu kościuszkowskim bądź w gronie zwolenników reform Sejmu Wielkiego czy nawet, jak Kazimierz Pułaski, rozślawią Polskę poza jej granicami.





JĘDRZEJ SIWEK

Ulice miasta

Wysiedli,
chwilę po tym zastygli
w bezruchu stoją dokąd zmierzali: w
nieznane.

Brezentowe worki leżą równo przy nogach,
widać ryż, fasolę i kawałek wołowiny
zawinięty w dziennik, numer z
przedwczoraj.

Stoją
i palą tytoń owinięty w bibułkę,

dopiero dźwięk tłuczonej butelki
anyżowej wódki przerywa milczenie.

Miasto podkręca volume. Słychać:
jazgot hamulców,
rozmowy towarzyskie,
brzęknięcie monety.

Ruszyli do wyjścia
by za moment odwrócić głowę
i ujrzeć wejście.

Nie zauważyli

na ulicy niczyje 5 złotych
odbija promień słońca.



TOMASZ SOBIERAJ

UWAGI O ARTYSTACH, KRYTYKACH I SZTUCE Z WĄTKAMI KOPROFAGICZNYMI I ENTOMOLOGICZNYMI

I

Talent jest darem bogów. Obdarzają nim swoich wybrańców w akcie niesprawiedliwej często rozrzutności. Umiejętność pisania, brzdąkania, pstrykania, rysowania, wydawania dźwięków, podrygiwania, filmowania i strojenia min jest natomiast dostępna dla każdego - i to od dawna. Niestety, można odnieść wrażenie, że artystami zostają mianowani ci, którzy talentu a nawet powyższych umiejętności nie posiadają. Mają za to ambicje. Wynikiem dużych ambicji i małych możliwości jest twórcza obstrukcja miernot, której ostatnią fazą jest bolesne wydalenie. Na te odchody sztuki rzucają się krytycy niczym pracowite żuki gnojzarze, żeby ulepić swoją życiodajną kuleczkę; reszty aktu konsumpcji dokonują muchy. Wychodząc z założenia, że miliardy much nie mogą się mylić łatwo jest udowodnić, że gówno jest dobre. Ale czy naprawdę?

II

W efekcie kumulacji twórczej i odtwórczej bylejałości, koneksji i strachu, reżim żuków gnojarzy wraz z masami plujek decyduje o smaku, mówiąc, która kupa jest dobra, ale nie mówiąc dlaczego. Innego zdania są oczywiście pszczoły i motyle tylko, że w demokracji głos elit się nie liczy. Muszą zatem fruwać gdzie indziej i nigdy nie przekonają much o walorach kwitnącej jabłoni. Mam oczywiście świadomość, że działalność artystyczna to (niestety) nie matematyka i że nie można przeprowadzić eleganckiego dowodu na jakość dzieła, stosując ściśle wzory i jednoznaczne pojęcia, ale można przynajmniej spróbować stworzyć zespół takich pojęć, terminów i zasad, który w pewnym przybliżeniu pozwoliłby

zaklasyfikować dany produkt twórczej biegunki lub obstrukcji do właściwej kategorii. Jak na razie, odnoszę wrażenie, że proces oceny dowolnej twórczości odbywa się w najlepszym przypadku na podstawie intuicji i subiektywnych doznań, w najgorszym i najczęstszym na koleśiowskich i finansowych układach - wszystko zaś ubrane w smętne powtórzenia, kalki, banały, wystraszone jęki a nawet bezinteresowną służalczość. To zjawisko typowe dla braku charakteru, odwagi i wykształcenia, a jego efekt jest taki, że mierność w tak zwanej sztuce jest coraz bardziej powszechna. Zaczynam wręcz mieć pewność, że obecnie należy nie umieć pisać, śpiewać, malować czy reżyserować, żeby (przy dodatkowych sprzyjających okolicznościach oczywiście) zostać wielkim artystą albo produktem dla mas - to już kwestia umowy i odgórnych decyzji.

III

Demokratyzacja sztuki sprawia, że każdy może napisać piękny wiersz lub powieść, nakręcić piękny film czy pięknie zaśpiewać piękną piosenkę. Może też być inaczej - każdy może napisać niepiękną książkę, namalować niepiękny obraz i nakręcić niepiękny film. Lecz czy w związku z tym, każdy kto wykonuje rzeczy piękne lub niepiękne jest artystą? Oczywiście, że nie. Artysta to nie jest ktoś, kto wykonuje rzeczy piękne i wtedy mówi się, że jest artystą popularnym. Artysta to także nie jest ktoś, kto wykonuje rzeczy niepiękne i wtedy mówi się, że jest artystą elitarnym. Artysta to również nie jest ktoś, kto chodzi ubrany na czarno, popija absynt, sika do doniczki z fikusem i jest pederastą i wtedy mówi się, że jest artystą kontrowersyjnym. Artysta to jest ktoś, kto swoją wyobraźnię, emocje, intelekt, fobie,

szaleństwo i odmienność potrafi przekazać w formie dzieła. I nie ma znaczenia czy środkiem ekspresji są papier i litery, pędzel i farby, ciało i ruch, palce i struny, aparat i film, kamień i dłuto - to są tylko media, instrumenty, które zostały przez niego wybrane i - co niezwykle istotne, którymi nauczył się posługiwać. Bo artysta, to nie tylko stan ducha to także zwykłe, rzemieślnicze umiejętności - warunek konieczny, żeby twórcę nazwać artystą. Jeśli tych umiejętności brak, to można mówić co najwyżej o sztuce naiwnej. Niestety, często się o tym zapomina nadając miano artysty ludziom, którzy nie opanowali warsztatu a wydali z siebie produkty okrzyknięte przez krytykę jako zjawiskowe (głównie dzięki brakom warsztatowym), które traktuje się jako indywidualny rys, bezkompromisowość i nowatorstwo. Moliere mawiał, że „wiedzieć wszystko bez nauki to cecha wielkich artystów” - słusznie, ale wszyscy wielcy i nieco mniejsi mieli jednak opanowany rzemieślniczy warsztat, czego o ich współczesnych następcach najczęściej powiedzieć się nie da. Techniki cyfrowe i marketing nie zastąpią edukacji.

IV

Artystę i rzemieślnika łączą umiejętności i zdolności. Obaj wiedzą co i jak zrobić. Różnica między nimi polega na tym, że artysta znajduje się w fizjologicznym, chorobowym wręcz, stanie konieczności tworzenia, jego życiowym celem jest uprawianie sztuki dla sztuki, rozwijanie się, czasami, gdy intelektu starcza, nawet teoretyzowanie, wymiana myśli, czego skutkiem są dzieła indywidualne. Rzemieślnik natomiast wykonuje pracę w celu zarobkowym, masowo, naśladowując innych, uwzględnia obowiązujące trendy, ciesząc się niemałą nieraz i zasłużoną sławą. Różni ich hierarchia potrzeb, wartości i zawartość boskiego daru - talentu. Miernota natomiast, gatunek najbardziej pospolity, chce połączyć życiowe cele jednego i drugiego, nie

posiadając ich cech i umiejętności. Skutki widać i słyhać, pomimo uwijających się wśród radosnego brzęczenia much żuków gnojarzy.

V

Jestem skłonny przyznać rację Chińczykom i Eklezjaście, którzy twierdzą, że wszystko już było i choćby dlatego nie trzeba w nerwowym poszukiwaniu indywidualności silić się na szokujące, mniej lub bardziej, wytwory (odchody), karkołomne pseudofilozoficzne parabole, naiwne teorie czy quasi-naukowe opracowania zapominając o istocie sztuki, którą jest synteza estetyki i myśli. Epigonizm i inspiracja są w sztuce zjawiskami powszechnymi i nieuniknionymi - wiedzą o tym erudyci i znawcy, a tylko kwestią czasu i chęci jest udowodnienie dowolnemu twórcy, że nie jest odkrywca. Sztuka rozwijała się w wyniku ewolucji, zapożyczeń, dyskusji a nie rewolucji. Wszystkie „rewolucyjne” zmiany w sztuce są wytworem propagandy nieuków a nie faktami historycznymi.

VI

Podaję, że wielu się z tymi luźnymi uwagami nie zgodzi. Trudno. Szczęśliwie, podstawową (teoretyczną?) zaletą tej tak zwanej demokracji jest to, że mogę wyrażać swoje opinie i z nikim się nie liczyć. Korzystam więc z tej swobody, póki jeszcze można.





JOLANTA ROJECKA

zierzch
 upragniony czas cienia
 koi chłodnym dotykiem
 dniem zmęczone sumienia

noc
 mroczny bezmiar niebytu
 serc pragnienia otula
 gwiazdnym płaszczem grafitu

świt
 szary brzask martwej ciszy
 blade płoszy demony
 wiernych snu towarzyszy

trwam
 śledząc wśród pór i odśłon
 wciąż w niezmiennym zachwycie
 zawsze zmienny nieboskłon

jestem
 tuż obok
 ale za blisko
 by móc być sobą

czuję
 cię w mroku
 gdy moim myślom
 odbierasz spokój

kryję
 się w ciszy
 tam gdzie mnie nigdy
 już nie usłyszysz

czemu
 wciąż obok
 wciąż zbyt daleko
 by móc być z tobą



ANDRZEJ TRZEBIŃSKI

IMPERIUM KULTURY – – KULTURA IMPERIUM*

Demagogia przemocy

Zwrot, jakim się operuje dzisiaj: „rewolucja świadomości kulturalnej” czy „rewolucja świadomości politycznej” nie jest bynajmniej czymś echem Brzozowskiego, jest w ogóle dzisiaj frazesem mniej niż kiedykolwiek. To rozstrzyga w stawianiu zagadnień.

Ponieważ teatrem rewolucji jest tylko i wyłącznie nasza świadomość kulturalna i nic ponadto - nie może istnieć i nie może wykolejać przebiegających rewolucyjnie procesów żadna dręcząca przemoc. Wszystko, co powstaje w zrewolucjonizowanej świadomości kulturalnej Polski, jest rezultatem wewnętrznych, własnych, z pogłębionego sumienia płynących nakazów, jest rezultatem, by raz jeszcze podkreślić, jedynie własnej, dobrej woli.

Tradycyjne lęki polskiego inteligenta przed wiązaniem rewolucji kulturalnej z jakimikolwiek przemianami i bodźcami płynącymi z przemian politycznych, małoduszne i instynktowne zapieranie się przez polskiego inteligenta kultury mającej ambicję oddziaływania poza strefę określoną politycznymi granicami, demagogiczne przerażenie polskiego inteligenta wobec kultury rzekomo nie tylko zdeterminowanej przez podłoże polityczne, ale wręcz powstającej na rozkaz polityki - nareszcie, raz w końcu wszystko zdemaskowane!

Klerkowska, inteligencka, małoduszna demagogia o przemocy jest dziś fikcją. Wszystko, co aktualnie powstaje, jest wyłącznie owocem wolności. Jest powstawaniem nie na rozkaz bynajmniej, co najwyżej na nakaz. Nakazy te biją ze źródła jedynego i wolnego: sumienia twórcy. To miał na celu wyświetlić wstęp

niniejszy, rehabilitujący żywotność i realność zwrotu o „świadomości kulturalnej”.

Klimat rozkwitającego mitu

Klimat kultury imperialnej nie jest czymś, co roztacza się poza nami i co w rezultacie może grozić niszczeniem i zabijaniem nas. Jest jedynie czymś stwarzanym we wnętrzu psychiki, czymś, co może jedynie rozwijać nas w dalszym ciągu, ponieważ samo jest wynikiem rozwoju. To ograniczenie procesów kulturalnych do granic czystej świadomości twórczej może wprawdzie grozić różnymi innymi niebezpieczeństwami: właśnie pokusami klerkostwa, zerwania związków z pełną pozakulturalną rzeczywistością. Skoro jednak pokusa ta dzisiaj nikogo nie przywodzi do grzechu, świadczy to o fikcyjności także tego niebezpieczeństwa.

Klimat kultury imperialnej, w jakim żyje nasza świadomość zbiorowa, rozwija ją jak na polskie dziewiętnasto- i dwudziestowieczne tradycje niezwykle oryginalnie. Wiek XIX stworzył w Polsce koncepcję kultury narodowej jako *sui generis* gigantycznego pamiętnika narodu. Koncepcje te realizują zarówno *Dziady* i *Kordian*, jak *Wyzwolenie* i *Wiatr od morza*.

Przy podobnej koncepcji kultury jako pamiętnika narodu zainteresowania obcych mogą mieć, czy muszą nawet, zawsze piętno oczekiwania na pamiętnikowe niedyskrecje, na swoiste sensacje kultury. Kulturę trzeba brać wtedy tylko pod kątem widzenia jej egzotyki. Polskiej egzotyki!

Egzotyka jednak ciekawi, jątrzy, fascynuje, ale nigdy nie zmusza do pogłębienia swojej wizji świata, do przyspieszenia procesów

W oryginale: *W klimacie kultury imperialnej*, „Sztuka i Naród”, nr 13/1943, s. 1-4. Podpisany Stanisław Łomien.

etycznych, słowem, nie wychowuje ani nie utwierdza człowieka w jego człowieczeństwie. Kultura własna, mająca ambicje oddziaływania na innych, przekraczania politycznych granic własnego narodu, wypromieniowywania własnych wartości i wiązania nimi, przywiązywania do siebie obcych - jednym słowem, kultura imperialna musi być czymś więcej niż pamiętnikiem. Czytanie cudzych pamiętników ma w sobie zawsze podskórny smak nieprzyzwoitości, immoralizmu, szczególnie pamiętników kogoś, kto cierpi. Kultura imperialna musi ekspresjonistyczną postawę wyrażania siebie zastąpić kreacjonistyczną postawą tworzenia dzieł kultury jak najbardziej obiektywnych, niezależnych od chwili stworzenia od swoich twórców, mogących iść samodzielnie i bez naszej opieki na podbój świata.

Czerpanie z własnego wnętrza i z własnego zewnętrznego klimatu tworzywa, ale przekształcanie go na obiektywne, ponadpolskie, uniwersalistyczne dzieła kultury - oto rdzeń przemiany.

Mit kultury i jej realizm

Kultury prawdziwie silne, mające świadomość własnej siły, nie poprzestają nigdy jedynie na organizowaniu swego kulturalnego mitu. Wola kultur silnych nie zużywa się i nie niszczy wytwarzaniem i stawianiem przed sumieniem człowieka co raz to nowych imperatywów. Imperatywy i mity kulturalne - o tym trzeba pamiętać - najłatwiej powstają w zamroczeniu, jako emanacja upojonej wyobraźni. Najłatwiej dlatego, ponieważ w owym zamroczeniu czy upojeniach tracą charakter trudnych i niebezpiecznych zadań, a płaczą się i utożsamiają chętnie z dowolnie widzianą i nierealnie ocenianą rzeczywistością istotną.

W istocie, w męskim, dojrzałym spojrzeniu pomiędzy mitem i imperatywem kultury a istniejącą realnie rzeczywistością zawsze będzie dystans. Dystans ten, miara tego dystansu jest miarą siły zdobywczości.

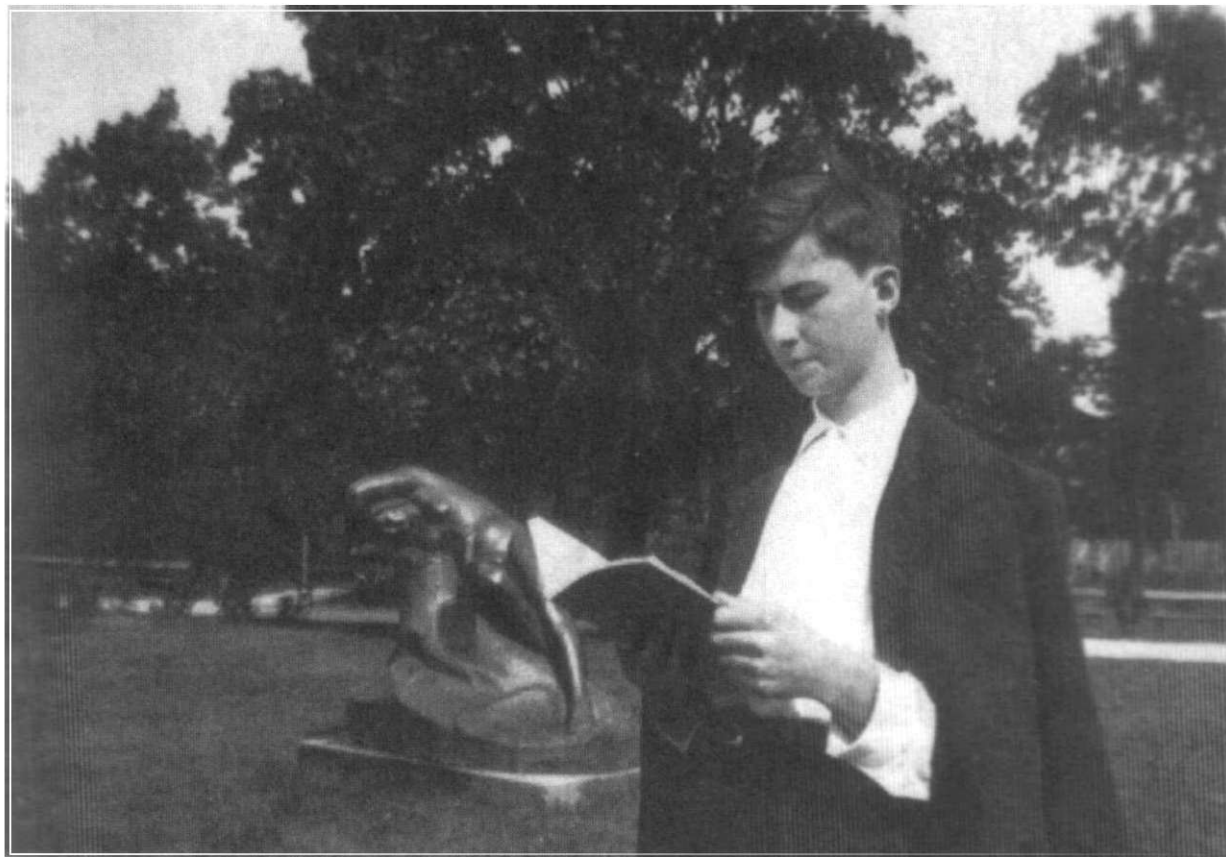
Świadczy o odwadze kulturalnej. Jest poddaniem twardej próbie kulturalnego dynamizmu. Bo siłą kultury nie mierzy się siłomierzem ani ilością koni mechanicznych. Mierzy się uświadomioną sobie, widzianą i odczuwaną jako zadanie, rozpiętością pomiędzy imperatywem i mitem a realistyczną wizją istniejącej rzeczywistości. Realizm kultury jest w równej mierze kwestią mocnej i dobrej woli, co mit. Kultura prawdziwie silna zdobywa się obok wysiłku wytworzenia mitu na wysiłek ogarnięcia, swego rodzaju imperialistycznego podboju przez świadomość kulturalną, pełnej, najbardziej pełnej rzeczywistości.

Dopiero te dwa momenty: mit i realizm, związane ze sobą strukturalnie, obdarzają kulturę męską równowagą, dojrzałością i dyscypliną. Inaczej jest albo romantyczne pomieszanie rzeczywistości z naszym pragnieniem i tęsknotą, albo oportunistycznym liczeniem się, co brania sobie za normę „wszystkiego cokolwiek istnieje”.

Konieczność ruchu kulturalnego w Polsce

Walka z „Polską fantastyczną” nie wystarcza. Potrzebny jeszcze mit kultury imperialnej. Mit wielkiej historii: ogień, który zapala sumienia, oczyszczające je z małości. Myśli te powstawały w tym właśnie klimacie gorejącym, ale i oczyszczającym zarazem klimacie kultury imperialnej wraz z jej wielkimi mitami-zadaniami: przebudowa polskiego snobizmu na polską samodzielność, polskiego importu na polski eksport, polskiego subiektywizmu i pamiętnikarstwa, w którym pokutuje romantyczny postulat wyrażania własnej duszy, na obiektywizm, w którym wyraża się męski, dojrzały, z tomizmu wyrastający postulat tworzenia - kreowania.

Istnieje głęboka i pełna odpowiedzialności konieczność wywołania w kulturze polskiej a dziś przynajmniej przygotowania, jeśli nie wywołania jakiegoś wielkiego, szerokiego,



1941, Park Ujazdowski, Warszawa

ogarniającego cały naród ruchu kulturalnego, który związałyby ze sobą te dwa momenty polskiej rewolucji - mit o imperium i realistyczną, odważną wizję rzeczywistości otaczającej nas - i który byłby ruchem posuwania się po tej wielkiej drodze historycznej od tego, co realnie istnieje, ku temu, co być musi.

Istnieją także warunki wywołania takiego ruchu kultury polskiej. Warunki te stwarza ostry, śmiertelny dla słabych, ale hartujący mocnych, klimat czterech lat wojny, jakiej nie mieliśmy dotąd w historii. Ale jednocześnie, znając tradycje polskiej małości, indywidualistycznie pojmowaną w Polsce kwestię odpowiedzialności etycznej, przerost ambicji a brak wielkiej dumy dziejowej, tęsknoty polskie za sensacją a obojętność wobec prawd kultury jako wobec czegoś nudnie naturalnego i oczywistego - znając, widząc realistycznie polską rzeczywistość

kulturalną, trudno zaryzykować zdanie, że nawet w klimacie kultury imperialnej i przy innych sprzyjających warunkach owoce rewolucji wojennej zdołają naprawdę dojrzeć. W polskich warunkach mówienie o dojrzewaniu czegośkolwiek zakrawa zawsze na paradoks.





MARIUSZ BOBER

Musimy pić

Chodź Syzyf na piwo
 Zostaw ten kamień
 I drogę pod górę
 I Ty Ikar też
 Rzuć swoje słońce
 I dumne swoje skrzydła
 Zawołaj Dedala
 Bo chłopak
 Straci co ma
 I wy wszyscy bogowie
 I prości ludkowie
 Rzućcie w cholere
 Wasze ambicje i cele
 Ruszajmy
 Gdzie Bruno niechybnie wygląda nas
 Ruszajmy wszyscy brakuje tam nas
 Rozlejmy w puchary i czary
 Wypijmy za zdrowie nasze
 I tych co stracili je
 Wypijmy za nas
 Za nasze upadki
 Za szczęście w niestosownym
 momencie
 Za wygrane po czasie
 Za szanse niewykorzystane
 Wypijmy
 Wreszcie za coś czego zmienić nam nie
 dane
 Za coś co oczy stawia na bacność
 Za coś co sprawia dziwakiem
 Wypijmy też za to co jest
 I za to
 Czego nigdy nie będzie

Policentrycznej wiedźmie

A pamiętasz policentryczną wiedźmę?
 Kaganek paliła jeszcze
 Cygara od czasu do czasu
 Rum piła
 Wiedźma!
 Kochałem jej styl
 Podarte pończochy
 Pasek skórzany z jadowitego węża
 Po kapeluszu rondo zostało
 A nad nim
 Wyspa siwych włosów!



MARIUSZ BOBER
DARIUSZ MAGIER

ŚWIAT EMILA CIORANA OD RUMUŃSKIEJ MISTYKI DO FRANCUSKIEJ GRAMATYKI

Jesienią 1997 roku w Paryżu ukazał się gruby tom notatek Emila Ciorana. Zaskoczenie, bo wydawało się, że o pisarzu zostało już powiedziane i napisane wszystko. W *Cahiers*, czyli *Zeszytach*, poznajemy Ciorana innego. Zapiski z lat 1957-1972 to tysiąc stron znakomitej prozy rumuńskiego emigranta, z którymi polski czytelnik mógł zapoznać się w 2004 roku.

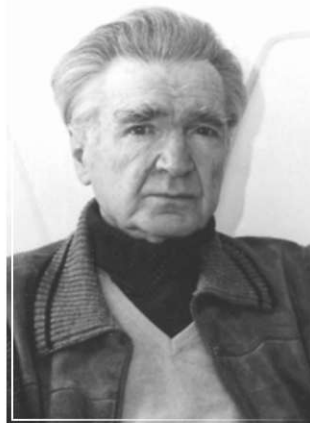
Wielki świat wygląda zza okienka, wysublimowana literacka myśl, przecież nieznaną dla zwyczajnego zjadacza chleba, jakże odległą od wydarzeń z paryskich księgarń. Przedziwne, jak wąski jest krąg odbiorców, dla których pojawienie się *Zeszytów* Ciorana staje się wydarzeniem. Gdyby chcieć ująć w jedno zdanie, esencję, to zawsze zaskakujący staje się świat pisarza. Zaskakujący – wszak pisarz wie, że przeciętny zjadacz chleba uzna go za społecznie nieprzydatny, wyobcowany. A przecież literackie podróże Ciorana skłaniają do refleksji, gdy obserwujemy jak krok po kroku stawał się wnikliwym myślicielem, któremu towarzyszyły muzyczne wspaniałości Bacha. Czyż nie jest tak, że dopiero polemika, czy też nawiązywanie do myśli innych pisarzy, w pewien sposób pomaga wniknąć w ich osobliwy świat, świat również intymny, w którym bohater opowiada o

tym, co je na śniadanie, co czyta, kiedy nie tworzy, i jakie rozterki nim targają. Można ubolewać, że tak mało wnikamy w literacki świat twórców.

Cioran żyje w poczuciu porażki, zauważa, że jego pokolenie, pokolenie rumuńskich intelektualistów, poniosło klęskę. Mowa oczywiście o wydarzeniach sprzed

wybuchu drugiej wojny światowej. „Co zawdzięczam Iron Guard?” pyta i odpowiada „Konsekwencje wynikające dla mnie ze zwykłego młodzieńczego uniesienia były i są tak ogromne, że w późniejszym czasie okazało się dla mnie niemożliwością orędowanie za jakąkolwiek sprawą, nawet zupełnie nieszkodliwą, nawet szlachetną, czy Bóg wie jaką. To dobrze, że przyszło nam drogo płacić za szaleństwo młodości; później oszczędzamy sobie niejednego rozczarowania.”

Międzywojenna Rumunia to niedowład ustrojowy, powszechne malwersacje, korupcja, nepotyzm, fałszerstwa wyborcze i chaos gospodarczy. W 1927 roku młody idealista nacjonalistyczny Corneliu Zelea Codreanu, zwany przez zwolenników Kapitanem, organizuje Legion Michała Archanioła, którego „zbrojnym ramieniem” była tzw. Żelazna Gwardia. Zaczął działalność z małą grupą studentów, w której wprowadził klasztorno-koszarową dyscyplinę stając się raczej prorokiem niżli przywódcą politycznym, a codziennością legionistów był religijny mistycyzm, poświęcenie, ascetyzm i kult śmierci. Wkrótce ruch rozrósł się do ponad 350-tysięcznej organizacji. Mieszkali we wspólnotach zwanych gniazdami, wędrowali po kraju z ikoną Michała Archanioła głosząc rychłe zwycięstwo nad szatanem i pomagali chłopom w pracach polowych. Legion Michała Archanioła zgromadził elitę młodego pokolenia Rumunów. Członkiem bukareszteńskiego gniazda „Axa” był Emil Cioran. Jako młodego eseistę pchnęła go tam fascynacja chrześcijańską mistyką śmierci, męczeństwa, obojętnym przyjmowaniem cierpienia, które wówczas pojmował jako dominujący składnik ludzkiej egzystencji. To wszystko znalazł w ruchu, na którego czele stał Codreanu. W 1933 roku członkowie Legionu tworzą Komando Śmierci, którego zadaniem jest jednak nie zabijanie, ale przyjęcie śmierci. Miała to być forma



Emil Cioran

ideowego apostołstwa, kolejne w dziejach Europy krucjaty dziecięce kolumny młodzieży legionowej uformowanej w znak krzyża (tzw. żywe krzyże). Grzegorz Górny pisze: „Po drodze śpiewali pieśni, wznosili legionowe hasła, piętnowali bezprawie władz. Zatrzymywani przez policję i żandarmerię (...) klękali i modlili się. Wkrótce cały kraj przemierzały kolejne grupy krucjaty dziecięcej, gromadząc na swej trasie wielotysięczne tłumy. (...) Kiedy w miejscowości Teius żołnierze otworzyli ogień, Legion doczekał się pierwszego męczennika”.

Po latach Cioran określi Legion Michała Archanioła, w którym czynnie uczestniczył, mianem „obłąkańczej sekty”. „Był to ruch okrutny, mieszanka prehistorii i profesji, mistycyzmu, modlitwy i rewolweru, prześladowany przez władze i zabiegający o prześladowania” - napisze.

Nie przypomina w samokrytyce swej młodszej postawy innego Rumuna, również popierającego w młodości Legion Michała Archanioła, Mircei Eliadego. Słynny religioznawca nie wspomina przeszłości, ale też nie przyłącza się do politycznie poprawnego chóru krytykującego międzywojennych młodych rumuńskich narodowców, zaś jego książkę zatytułowaną *Od Zalmoksisia do Czynghis-chana* można określić mianem apoteozy ojczyzny i własnego pokolenia, pokolenia legionistów - idealistów, którzy próbowali zmierzyć się z przeszłością i - jak to określi Przemysław Dulęba - ideą „mocnego dobra”.

Natomiast do Ciorana „grzechy młodości” wracają w postaci sennego koszmaru na jawie i nigdy nie kończą swojego nań wpływu. Przeszłość jest dlań przekleństwem, które zaważyło na dalszych jego losach, ale jednocześnie fascynuje go ona i nie pozwala na komfort innej niżli kontr-ideowa postawy.

W *Zeszytach* zauważamy głęboką ambiwalencję, klasyczną dwuznaczność właściwą każdemu dziennikowi - rozdarcie między refleksją filozoficzną a materią egzystencjalną zapisywaną *in crudo*. Autor przechodzi głęboką metamorfozę, od pochwały czynu do apoteozy

ataraksji. W tej metamorfozie nurt miał swoich wybitnych przedstawicieli: Martina Heideggera, Gottfrieda Benną, Ernsta Jungera czy też Andre Malraux, a w świecie anglosaskim W. H. Audena. Jego metamorfoza to zmiana myśli filozoficznej na kontynencie



Corneliu Zelea Codreanu

orientującej się na młodość. Cioran należał do pokolenia, jakże licznego i spóźnionego, wielbicieli i uczniów Fryderyka Nietzschego poszukujących innych „łatwopalnych idei”. Jednak dojrzewa: „Z biegiem czasu, coraz częściej stwierdzam, że w każdym punkcie stoję na antypodach myśli Nietzschego. Coraz mniej lubię myślicieli szalonych. Wolę mędrców i sceptyków, nienatchnionych *par excellence*, których żaden ból nie ekscytuje ani nie bulwersuje. Lubię myślicieli podobnych do wystygłych wulkanów.” Przypomina w tym trochę pięćdziesięcioletniego duchowego spaślucha, który wspominając swoje życie z odrazą dziwi się, że kiedyś mógł łązić po drzewach.

Z chwilą kiedy dokonuje zwrotu w stronę mistycznej pasywności, do tego dowcipnej, zamienia mistrzów niemieckich na francuskich. Dla znawców europejskiej topografii intelektualnej skok ten nie jest kwestią przeprowadzki z jednego miasta do drugiego, z jednej ulicy na inną. To skok nad Renem, nad przepaścią dzielącą dwie absolutnie inne koncepcje kultury i literatury, definiujące przez długi czas różne postawy i oczekiwania. W pewnym momencie porzuca pisanie po rumuńsku i niemiecku, by skupić się na języku francuskim, tym samym koniecznością stała się gramatyka francuska. Od tej chwili autor podziwia elegancki francuski sceptycyzm, w końcu wpisuje się w długą linię francuskich moralistów i prawdopodobnie staje się jednym z ostatnich

przedstawiciele tejże. Studiujecie dzieła Pascala czy Montaigne'a, „wykradając” również z francuskich pamiętników inspiracje, „sól attycką”, francuskie *esprit*. Nie omijają salonów. Zatracając transcendencję porzucają, jako posiadające w sobie ziarno zniszczenia, zaangażowanie ideowe. To prawda, wojna idei może niszczyć ludzkie ciała, jednakże apatia „nienatchnionych” niszczy ludzkie dusze. Wartość *Zeszytów* bierze się również stąd, że zwierają ogromny żal za tym, co autor porzucił. Jak się okazuje, łatwiej jest wertować strony jadłospisu, niż przerzucać strony wielkich kultur. Dzieło od strony „archeologicznej” jest pasjonujące: zawiera niemiecką poezję, niemieckich mistyków, takich jak mistrz Eckhart, dalej muzyka niemiecka i oczywiście wielki Jan Sebastian. Przedziwne, że autor stylizuje się na wygasły wulkan, chwając chorobę, bezsenność, czy zmęczenie. Po co? Pozornie? Bo jednak odzywa się w nim tęsknota za „wulkanami czynnymi, za szczytami, nad którymi unoszą się oznaki aktywności”?

Obok konotacji rumuńskich, niemieckich, francuskich, Cioran zaraża się Hiszpanią. Dlaczego miłość do Hiszpanii? Hiszpania to kraina honoru, rycerskości, pasji, mistyki, a przede wszystkim ojczyzna nostalgii. Znajduje zastępczą Rumunię, staje się Hiszpanem.

Czym jest dziennik intymny? Wynalazkiem pisarzy nowożytnych. Nigdy nie odnajdziemy dziennika Homera, Dantego czy Szekspira. Ci autorzy przedstawiali życie w walce, w doświadczeniu. Pisarz ciągnie nas wręcz za rękaw, by pokazać, co posiada w zakamarkach swojej pracowni. Niedojedzony pasztet, brudna kurtka, kotlet schabowy, sterta starych gazet, zabłocone buty, niezmyte naczynia to również jego świat. W przypadku Ciorana nic takiego nie spotkamy, jakby zamykał akurat te podwoje swojego świata. Nic na temat prywatnego życia. Poznajemy jedynie filozofa i jego nastroje? Nie spotykamy też jego bliskich? Po „S.” domyślamy się jedynie, że chodzi o Simone Boue, towarzyszkę jego życia, która przygotowuje dzienniki do druku, sama jednak ginie tragicznie. Inni pojawiają się epizo-



Komando Śmierci Legionu Michała Archaniola

dycznie - Ionesco, Beckett, Celan czy Czapski.

Ucieczka od rumuńskiej mistyki w gramatykę francuską nie uwalnia go od „demonów”, które kierowały jego poczynaniami w młodości. Widzimy autora jako człowieka nerwowego, toczącego bój z własnym temperamentem, marzącego o buddyjskiej obojętności, a w rzeczywistości nie potrafiącego przeżyć choćby jednego dnia w spokoju. Awantury w urzędach to dlań rzecz normalna. Przedziwne, marząc o samotności, prowadzi bogate życie towarzyskie, „kolacyjne”, gdzie spotyka kolegów literatów, którymi gardzi w swoich dziennikach. Rezygnując z idei zamienia aktywność na jałowość.

Cioran jest niezmiernie błyskotliwym pisarzem, suwerennym, nie podlegającym modom, skrzętnie szperającym w bibliotekach w poszukiwaniu dzieł zapomnianych. Zadziwia pochwała „cienia” w jego twórczości. Klują w oczy paradoksalne

stwierdzenia: „klęska jest lepsza od zwycięstwa”, „każdy sukces jest wulgarny”, które znowuż stanowią powrót do *złej* przeszłości eseisty. Jednakże w autowyrzutku Emila Cioranie idea rumuńska zamienia się w swoją karykaturę. Mistyka śmierci ewoluje w mistykę błahostek. Przedziwne przemianowanie pochwały życia. *Zeszyty* stają się wielkim hymnem na cześć dekadencji, upadku, impotencji życiowej.

Cioran to sceptyczny emigrant. Zagajewski twierdzi, że emigranci to ludzie szczęśliwi. Ludzie, którzy starannie ukrywają swoje szczęście. Oślawiona nostalgia, lata dzieciństwa, dźwięki dzwonów, ośnieżone Karpaty. Balansowanie pomiędzy zaletami emigrowania, a pozostaniem w kraju, pomiędzy tym, co traci emigrant, a za czym tęskni człowiek wzorem Immanuela Kanta, który nigdy nie opuścił swojego miasta.

A co z Cioranem? Ponoć nie wrócił szczęśliwy do Rumunii tracąc pamięć w Paryżu na podobieństwo amnezyjnych starców. Powojenna Rumunia, naród komunistycznego "cara" Ceausescu, wywiera nań ciągle ogromny wpływ. To „naród nieszczęśliwy i nieuczciwy...”, „naród, w którym wszystko przekształca się w miniaturę”. A przecież w swojej intelektualnej układance zawiera istotne klocki teologów i myślicieli, mistyków i kompozytorów, w końcu poetów. On sam - kiedy mówi: „Prawdziwy pisarz trzyma się ojczyźnego języka, nie zamierza szperać w tej czy innej obcej mowie. Umie się ograniczyć oto jego sekret” - łamie własną regułę.

Po co więc czytać *Zeszyty*? Choćby dla samej ich błyskotliwości, zaskakującej inteligencji, w końcu dla samego stylu. Cioran wypowiada ciekawe zdania, np.: „Niepodobieństwem jest napisać listu kondolencyjnego, nawet jeśli jest się szczerym. To gatunek najbardziej fałszywy; ciekawe, że nie został zniesiony za jednomyślnym postanowieniem”. Nie znajdujemy u niego dłoni złożonych do modlitwy, znajdujemy niemalże wściekłą ciekawość, która ma zastąpić modlitwę. Dociekliwość, która pcha go do bibliotek,

do lektury, do innych ludzi. Modlitwa to ciekawość skierowana do samego siebie. Czy czytelnika nie zniechęci lapidarny styl Ciorana? Ten styl zwodzi, pulsuje, irytuje. Wypowiada zdanie, a za chwilę mu zaprzecza. Jeden z recenzentów nazywa go „Beduinem myśli”, inny twierdzi, że bohater uprawia „najbardziej błyskotliwy irracjonalizm bałkańskiej beznadziejności”. Ale też Cioran nie nabiera się na intelektualne mody. Absolutnie suchy przechodzi obok zmieniających się francuskich nastrojów, ba, wyszydza na dokładkę epokę strukturalizmu, kiedy wszyscy, jak jeden mąż, pisali o języku. Epatuje post-legionowymi wypaczeniami, takimi jak: „Jednostka, podobnie jak naród, jest coś warta tylko wtedy, gdy zostaje zwyciężona. (...) Ktoś, komu się udało, z punktu staje się nieinteresujący”. Świat nieudaczników i życiowych rozbitków staje się również światem osobnym, innym gettem wartym zainteresowania, miejscem, w którym również toczy się życie. Cywilizacja pomiędzy światem idei a kontr-idei.

Zagajewski określi jego literackie zmagania jako „snobizm rozpaczy”, ma wątpliwości, czy użyć określenia „nihilizm”. Cioran korzysta z własnej medycyny jako lekarstwa na „infekcję cienia”. Przeciwwaga to jego erudycja zdobywana w sposób chaotyczny, egzystencjalny i być może dlatego bardziej wyrafinowana. A przecież niejaki Constantin Noica, mistrz młodych intelektualistów, krytykował Ciorana za lekturę mistrzów drugorzędnych, nie tak jak on, który delektuje się Platonem, Arystotelesem, Heglem, Heideggerem. A Eckhart, Seneka drugorzędni? Cioran unika modnych gigantów, boi się ich. Obawia się, że mogą na powrót rozpalić w nim ogień i pchnąć na powrotną drogę od kontr-idei do idei. Nie chce już iść za wielkimi, tak jak kiedyś poszedł za Codreanu. Strach przed złym wyborem obezwładnia go. Jednak w tej kontrowersji znajdujemy także dążenie do prawdziwego, wolnego wyrazu myśli, unikanie myślowej łatwizny, fascynację umysłami samotnymi i surowymi dla siebie. Wypowiada zdania, które intrygują, pompują do szarych komórek pytania.



Żelazna Gwardia

W gruncie rzeczy w przeklinaniu przeszłości przez autora *Brewiarza zwyciężonych* możemy odczytać żal za utraconymi szansami, za porywami serca. Kontr-ideowość wydaje się być tu wyborem rozpacz po upadku tego, co Eliade określił mianem „duchowej rewolucji”, opisując zachowanie legionistów internowanych wraz z nim w obozie Miercurea-Ciucului: „Wieczorna modlitwa kończyła się potężnym <<Bóg jest z nami>>, odśpiewanym przez trzysta głosów. Na ostatnim piętrze znajdowało się pomieszczenie na nieustanną modlitwę. Dniem i nocą któryś z więźniów przez godzinę modlił się tam lub czytał Biblię, przerywając tylko wówczas, gdy ktoś inny przychodził go złuzować”. Postawę Ciorana mógłby przyjąć Leon Degrelle, Belg również obciążony ideowym „grzechem młodości”, gdyby (co się, na szczęście, nie stało) jego dusza przestała „płonąć”, a w jej miejscu pozostał zimny, bolący kamień. Tak jakby pisarz ubolewał nad tym, że ominął go chrzest krwi, który Żelaznej Gwardii zgotował królewski rząd Rumunii. 30 listopada 1938 roku Corneliu Zelea Codreanu oraz trzynastu jego dowódców Legionu Michała Archanioła zostało zamordowanych w więzieniu Doftana. Zabił ich ten sam Tron, o którym niespełna pięć lat wcześniej w *Podręczniku dowódcy gniazda* Kapitan pisał: „Legion stoi niezłomnie na straży wokół Tronu, na którym zasiadali Książęta i Królowie poświęcający się w obronie chwały i dla dobra Narodu”. Ciała przywódców Legionu wywieziono do lasu, wrzucono do głębokiego dołu, oblano kwasem, potem

zasypano wapnem i zalano betonem. Technika zaangażowana w walkę z ideą. Na myśl przychodzi legenda związana ze śmiercią polskiego poety związanego z ruchem narodowym, Andrzeja Trzebińskiego, któremu przed rozstrzelaniem Niemcy mieli zalać ustawa wapnem. Jedenaście lat po zabiciu Codreanu Cioran oddał jednak swoisty hołd postawie legionistów pisząc mesjanistycznie: „Wszystkim wodzom poćcinano głowy, a ich trupy wyrzucono na ulice: spotkało ich przeznaczenie, co zwalniało kraj ze spotkania z własnym”. Ale nie była to prawda, a jedynie refleksja emigranta, chwilowa słabość późniejszego przedstawiciela gramatyki francuskiej.

W *Zeszytach* czytelnik napotka przewrotność, która z jednej strony będzie przyciągać, z drugiej odpychać. Znajdzie zranionego człowieka w wiecznym ruchu pomiędzy smutkiem a ciekawością, życie i historię współczesnego intelektualisty, „podróżnika” po kulturach, którego powojenna reakcja demoliberalna uczyniła kreaturą podobną post-komunistycznym twórcom mającym w życiorysie stokroć gorsze „heglowskie ukąszenie”. Wyciągnij rękę, choć ta róża nie jest pozbawiona kolców. Taki jest kwiat, taki jest świat Emila Ciorana.



Bibliografia:

- E. Cioran, *Zeszyty 1957-1972*, Warszawa 2004.
 P. Dulęba, *Dakowie, Zalmoksis i Legion Michała Archanioła. Rumuńskie dziedzictwo Mircei Eliadego*, „Frona”, nr 33.
 M. Dylewski, *Jedna Rumunia, trzy „faszyzmy”*, „Frona”, nr 33.
 M. Eliade, *Od Zalmoksis do Czyngis-chana*, Warszawa 2002.
 G. Górny, *Rumuńska mistyka śmierci*, [w:] idem, *Demon Południa*, Warszawa 2007.
 A. Zagajewski, *Gramatyka francuska*, „Zeszyty Literackie”, 93, nr 1/2006.



OSKAR SZWABOWSKI

Na pustyni hipermarketu

wiersz rozgrywa się
w szarej kolorowej scenerii
na ziemi Niczyjej
i traktuje o niczym co jest

wiersz opowiada o kimś
kto siedzi na ruchliwej ulicy
odbijającej się w nim kolory
sprawiają że staje się szary

wiersz opowiada o kimś
kto siedzi będąc w ruchu
o zdarzeniach które się nie wydarzają
o zatłoczonych ulicach które są puste

ten wiersz to zapowiedź
która się powtarza
dopóki inna zapowiedź się nie pojawi

Reszta jest milczeniem

jak
marginesy szkolnych zeszytów
zapisane uwagami

jesteśmy o tyle
o ile
wyodrębnia nas
czerwony tusz

Znikający

Dla Lelego

rozkłady jazdy
obowiązują tylko
czekających

wybierający się w drogę
mają własne kalendarze

PO XXV

opisuje nas cmentarzysko
słów bez treści
dawno zapomnianych znaczeń
przysypanych
rozgadaną ciszą

pstrokata zatłoczona pustka
przywoływana podtrzymywana
celebrowana codziennie
w każdej chwili spędzanej
na kwaterze numer
gdzie już nic
po prostu nic

fikuśne znicze
malownicze wieńce
plastikowe



ARTUR ROGALSKI

POGRANICZA, CZYLI PAN TADEUSZ PO PODLASKU, CZ. 3

*„gorzałeczka przepalona
leci w gardło jak szalona
Hu - ha!”*

Z pewną „taką dozą nieśmiałości” zasiadam do pisania trzeciej części *Pana Tadeusza*... Niniejszy kwartalnik ma być o alkoholu, czyli po naszymu „alku”. Biorąc pod uwagę częstotliwość, jak też rozmiary wykorzystania alka na Pograniczu, mniemam, że ten tom „Koziego...” rozmiarowo dorówna co najmniej przeciętnemu tomowi encyklopedii brytyjskiej, zatem postaram się jak najwięcej i trzeźwo (tak!) przedstawić to, co w kwestii alka pozostawiły nam dzieje Pogranicza w spadku.

Oczywiście nie można zapominać, że temat ma bardzo rozległy kontekst. Bo skoro butelczyna to przecież nie samemu, tylko w szerszym gronie, więc imprezka (bał, uczta, etc.), muzyczka, te sprawy. A jak dobrze alek służy do podnoszenia poziomu odwagi i siły! Nieoceniony Wójcicki w swoich *Starych Gawędach* wspominał „Byłem sam świadkiem na Podlasiu, jak szlachcic z Łukowa za garniec wódki próbował siły z niedźwiedziem, co go oprowadzali cyganie. Że był podpiły, nie pochwycił zwierza po wierzchu łap, i to zrobiło, że go niedźwiedź w poły pochwycił, przełamał i rzucił na ziemię. Leżał potem on szlachcic sześć niedziel, zanim się wyleczył”. Trzeba było pamiętać, Panie Bracie, że alek dodaje siły pozornie, podobnie jak refleksu, o czym tak często przypomina nam w TV pan rzecznik Policji Państwowej, ale cóż, wtedy nie było rzeczników (tylko wodnicy, ale to zupełnie inna branża) nie mówiąc już o TV, i ludzie - jak to się mówi - były bardziej śmiałe.

Wielu tu było pijących (co za eufemizm!), ale w spożyciu celował Antoni Kuszell z Żeliszewa, sławny żołnierz, hulaka i awanturnik doby napoleońskiej, potem poseł na sejm, a co! swój chłop, kość z kości i krew z krwi naszego Pogranicza. Nie tylko w spożyciu zresztą. Mało który pamiętnik z epoki nie wspomina o wybry-

kach Kuszella, popełnianych na trzeźwo lub po pijanemu. Już nie daruję sobie, aby choć Fredry nie zacytować „pod Warszawą zaś Kuszell, kapitan huzarów, pijany, przeczuł metodę Prisnitza, kiedy szlachcica, jadącego w dzień ciepły w futrze, kazał z futrem wciągnąć do Wisły, aby się z nim kąpał”. Nie wiem czy na trzeźwo czy po pijanemu, ale wszystko wskazuje na to drugie, rozpoczął Kuszell swoje uczestnictwo w powstaniu listopadowym: „Antoni Kuszell z Żeliszewa, którego trzeciego dnia po rewolucji przybył do stolicy i prosto się udał do Banku proponując generałowi Chłopickiemu i Radzie Administracyjnej wyprawę na Litwę i wojnę partyzancką, a gdy go zimno tam przyjęto, perorował w kawiarniach i w klubie... Chłopicki, chcący go czymś zaspokoić, dał mu upoważnienie organizowania jazdy w województwie podlaskim. Antoni wzięwszy z sobą kilkunastu akademików za adiutantów udał się do Siedlec. Chciał powiesić prezesa wojewódzkiego, pana Sternalskiego (Joachima Sternalskiego - A.R.), urzędnika ślepo posłusznego wielkiemu księciu, którego uciekł z pałacu rządowego przez tylne okno, aresztował majora komenderującego artylerią, jako nieochotnego rewolucji, szukał wszędzie osób, z którymi miał dawniej na pieńku, a pomiędzy innymi pewnego doktora neofite, którego był raz odmówił przybyć na jego wezwanie, nastraszył bardzo, uwożąc go w las i po kilka razy, zwiąawszy mu oczy, komenderując swoim przybocznym akademikom ślepymi ładunkami go rozstrzeliwać”. No, powiedzcie sami, czy takie hece można wyprawiać na trzeźwo?

Wykorzystanie alka w pałacach i dworach... mój Boże! toż to temat na pracę habilitacyjną. Oczywiście tylko dla zaawansowanych badaczy. Co ja, nieboraczek, mogę o tym pisać. Jeśli u Radziwiłłów na stołach ustawiano... jakby to ująć... makiety prze-

strzenne, w których płynęły rzeki z tokaju, a po nich pływały stateczki z cukru... to sami rozumiecie. W pałacach w Siedlcach i Radzynie aż takich brewerii nie było, ale jestem dziwnie spokojny, że trunków się tam za kołnierz nie wylewało.

Problem alka jest oczywiście utylitarny i grzechem byłoby sprowadzać go li tylko do pańskich stołów. Z dawien dawna prawo do wyrobu alkoholu na własny użytek posiadali chłopci osiadli na dawnych gruntach wybranieckich, najczęściej potomkowie piechurów wybranieckich. Łany wybranieckie i ich posiadacze były solą w oku dzierżawców dóbr królewskich (tylko w takich dobrach egzystowali wybrańcy). Dlaczego? A dlatego/ że posiadali rozległe przywileje gospodarcze - tylko nieco mniejsze od tych, które posiadał starosta, a całkiem niedostępne dla pozostałych mieszkańców wsi wchodzących w skład królewszczyzny.

Starosta mógł wycinać drzewa w puszczy królewskiej, wybrańcy także, starosta łowił rybki w królewskich stawach, wybrańcy tak samo, starosta produkował gorzałeczkę i piwko dla chłopów - oprócz wybrańców właśnie, bo ci mogli produkować sobie alka sami. Co prawda tylko „na domową potrzebę”, ale kto ich tam sprawdził. Pili sobie domowe piwko lub wódeczkę, a i pewnie cichaczem sąsiadów spraszali. Najbliżej Radzynie leżała tenuta (królewszczyzna) kąkolewnicka, zamieszkała zresztą przez nader sprytnych i rzutkich chłopów (śwarne gady chciałoby się rzec!). Wybrańcy tenuty kąkolewnickiej od okresu staropolskiego stanowili zwartą grupę. Potrafili się zjednoczyć, kiedy chodziło o dochodzenie i obronę swych praw. Podczas tzw. pierwiastkowej regulacji hipotecznej dóbr rządowych w 1826 roku władze usiłowały odebrać funkcjonujące jeszcze na tych dobrach służebności





📷 Katarzyna Kolasieńska

(przywileje na wyrąb drzew, propinację alkoholu, połów ryb, itd.). Wówczas na łanach tenuty kąkolewnickiej liczba rodzin korzystających z przywilejów wybranieckich była największa w całym województwie podlaskim. Działając wspólnie wybrańcy kąkolewnicy byli w stanie zebrać pieniądze potrzebne do opłacenia zawodowego prawnika. W ich imieniu występował patron siedleckiego trybunału Józef Pękosławski. Dzięki swej zapobiegliwości utrzymali niektóre ze swych liczących po kilka wieków przywilejów. A wielu innych mniej rozgarniętych posiadaczy łanów wybranieckich podczas tej samej regulacji w 1826 roku zostało zrobionych w „bolo” przez cwanego przedstawiciela Skarbu Państwa Franciszka Raciborskiego...

Właśnie tak na problem alka zapatrywały się władze państwowe ci zdiercy jak zwykle wężyli, co by tu można zachapać lub obłożyć podatkiem z czystej miłości do obywateli, rzecz jasna, i dla ich dobra. Pół

biedy jeszcze, kiedy władzuchna była nasza, krajowa, bo wtedy była szansa na rozbudowany dialog na linii rządzący rządzeni. W okresie staropolskim prawo propinacji alkoholu spoczywało w rękach właścicieli wielkich dóbr ziemskich. Miejscowa ludność nie mogła produkować (z nielicznymi wyjątkami, patrz wyżej), ani kupować trunków z innych źródeł, co więcej musiała nabywać obowiązkowo pewną ilość pańskiego alkoholu. „Aby utrudnienie w nabywaniu trunków związane z prawem i przymusem propinacyjnym służyło podnoszeniu dochodów pańskich, a nie zmniejszało, o ile możliwości rozmiarów konsumpcji, dwór przykazywał karczmarzom, aby zawsze mieli pod dostatkiem trunków, oraz naznaczał kary na opieszalych”. Jakież to były dobre czasy! Nie było szans, aby się nie napić... W 1766 roku w Rzeczypospolitej wprowadzono czopowe i każdy, kto wyrabiał i sprzedawał alka, bez wyjątku, musiał płacić dziesiąty grosz od zysku. Tak restrykcyjna uchwała nie mogła funkcjonować w wolnej Polsce i wkrótce ją zmieniono. Od 1775 roku podatek czopowego miały płacić tylko miasta, dodatkowo uwolniono całkowicie ceny trunków i utrzymano w mocy dawne przywileje propinacyjne. Nic dziwnego, że, jak zauważali współczesni, „cały sposób przemysłu miejskiego jest gorzałkę, piwo robić i szynkować, a i innym do wypróżnienia beczek swych wiernie dopomagać”. Na dodatek administracja czopowego przedstawiała się kiepsko, zajmowali się tym zazwyczaj urzędnicy celni, przeciążeni zadaniami merytorycznymi, mieli inne sprawy na głowie niż kontrolę dystrybucji alka... Słowem: hulaj dusza bez kontusza!

Ale kiedy na ziemi Rzeczypospolitej weszły Europa i Azja (Prusy, Austria, Rosja) przestało być wesoło. Szczególnie na Ziemiach Galicji Zachodniej, gdzie osławiony austriacki fiskus zajął się rabunkiem kraju. Nasze Pogranicze szybko odczuło dobrodziejstwa systematu „europejskiego”. A butelkowane i beczkowane przyjemności zaczęły drożeć w błyskawicznym tempie. Jak już wspominałem, pod koniec I RP

podatek czopowego był pobierany tylko od mieszkańców miast, wsie były z niego zwolnione. Austriackim urzędasom, z miłościwie panującym wówczas oberurzędasem, nie mieściło się to w głowie. Od samego początku swoich rządów uważali, że czopowe musi być przeniesione także na wsie. No i przeniesli je w 1803 roku. Aby podatek dał spodziewany dochód, przeniesieniu towarzyszyły pełnowymiarowe szykany urzędnicze. Już od 1805 wysokość czopowego podwyższono, a dominia zmuszono do prowadzenia skrupulatnej dokumentacji wyszynku, wkrótce zarzucono im jednak nierzetelność i odgórnie szacunkowo narzucono ilość alkoholu, który powinna wypić każda galicyjska rodzina. Na przeciętną 5-osobową rodzinę winno przypadać, według ustaleń Wiednia, sześć garnców wódki rocznie. Czyli około 24 literków, zatem literek na twarz łącznie z niemowlętami, małymi dziećmi etc... Fajnie, nie? Jak ktoś myśli, że pomiar prawidłowości krzywizny banana jest szczytem biurokratycznej durnoty, to się myli... Tak, tak, można o tych czasach zanuć słowami Kazika: „A kto wódki nie pije, ten jest wywrotowcem, tak! świadomie uszczuplającym dochody państwa bezideowcem!”. „Stało się czopowe ogromnym ciężarem dla ludności miast i wsi Galicji i nawet w miastach mających prawo propinacji większość dochodów szła do kas państwowych” - pisał wybitny znawca dziejów Zachodniej Galicji prof. Tadeusz Mencil. Ale, ale, a dziś to jak jest? Ceny alka ciągle rosną, a na dodatek ciągle szykany i prohibicja. Pod chmurką nie wypijesz, tu nie, tam nie... A fe! Hańba! Jakie to tradycje kontynuuje się w wolnej Rzeczypospolitej, hę? Nasze czy cudze? Wolności narodowe oprymowują! Kardynalne prawa łamią!

Jeśli już o tym mowa, to wróćmy do naszych możnych. Po 1795 roku, niestety, jak to najczęściej bywało, „znaleźli się obrotowo” po obu stronach barykady. Powstała nawet nowa magnacka ideologia „Trzeba ratować ojcowiznę, gdy przepadała ojczy-

zna”. Pozornie nic słusniejszego, ale wydaje mi się, że bardziej prawdziwe byłoby hasło „Trzeba ratować ojcowiznę, gdy się sprzedało ojczyznę”. Niestety, w zaprzęg rydwanu władzy dali się wciągnąć także i ci, którzy ojczyzny nie sprzedawali, jak np. Małachowscy czy Czartoryscy. Bezpośrednio i pośrednio.

Kiedy Czartoryscy zamieniali w 1806 roku Siedlce na dobra państwowe z rządem austriackim problem alka stał się niemal pierwszoplanowy. Spadkobiercy dobrej księżnej Aleksandry zachowali się brzydko i odebrali miastu prawa propinacji oraz podwyższyli opłaty od gruntów. Uczynili tak, aby w przetargach z władzami austriackimi maksymalnie podwyższyć cenę miasta, cóż, jak to przy takich okazjach bywa, jedna strona starała się najmocniej wydoić drugą. Naiwni mieszczanie usiłowali reklamować u władz austriackich - mieli do tego okazję, bo właśnie wtedy przebywała w mieście komisja rządowa oceniająca faktyczny stan dochodów miejskich. Można byłoby się spodziewać, że władze powinny się wmieszać w spór biorąc stronę mieszczan, obniżyłoby to przecież wartość nabywanego miasta. Akurat! Austriacy gotowi byli odżalować te głupie parę tysięcy, ważniejsza była władza. W myśl dewizy „dziel i rządź”. Wiedeń „wrozumiałe” nie wziął udziału w sporze pomiędzy mieszczanami i arystokratami. Mimo płaczów i skarg siedleccy „sławetni” dostali kopniaka i od Czartoryskich i od władz krajowych. Te ostatnie zyskały to, co chciały oprócz potrzebnych im Siedlec (idealne położenie i infrastruktura w sam raz na stolicę cyrkułu) właśnie i niezgodę wśród rządzonych. I jak zawsze opłaciło się.

Wasze zdrowie!





MARIA KRYŃSKA - SZOSTAK

Pod szklanym kloszem

“Stopy zdają się mówić:
Doszliśmy dotąd, to już kres.”
(*Krawędź*, S.Plath)

“Jaki smak będą mieć wigilijne róże?
Pszczoły wlatują. Wyczuwają wiosnę.”
(*Przezimowanie*, S.Plath)

Może niebo mnie wypełni - stanę się
błękitem. Pszczoły
zwinęte w rój runą na mnie i we mnie,
obnażą mnie
do szpiku kości. Będziesz potem szukał
długo -nie rozpoznasz,
nawet jednego słowa, nawet jednej
obumarłej części.

Jeszcze walczy o mnie mój zagon cebuli,
jabłonie,
siedemdziesiąt jeden na jedną, zabieram im
owoc jak swój.
Powałam drzewa miłością, po której
milczenie. Cmentarz
rozrasta się we mnie ciszą, do
nieprzytomności.

Trawa wbija się w stopy zawsze, wyzierając
na wylot.
Nie mam jej tego za złe, niech robi co chce.
Przywykłam do bólu. Ścianie oddaję
czerwień, kolor
meo serca, przecież go porzucę. Położę się.
Zasnę.

Jeśli nie potknę się o Krawędź w tym
szalonym pędzie,
przetrwam. Przezimuję. Zrzucę szaty
żałobne. Cis dostojnie się nagnie
mojej smukłej skórze. Księżyc udzieli ślubu
obraczce w welonie.
Ja zasiądę do miodu, spojrzę kocim okiem,
więc to był raz trzeci.

Wiara

babci

To tłące się w nas zarzewie
Z ojca na syna, z matki na córkę
Ten rytm słów z ust do ust
Patrzysz na mnie znam to wyznanie
Jak pieśń pełną bólu łkanie tajemne

Mój bunt nie był na argumenty
Bo jak dyskutować z twoją pewnością
Za którą znaki pokoleń, życie
Bliskich, odeszłych za horyzont

Moja myśl łapie cię w locie
- dzisiaj jestem bliżej niż dalej

Wilczy zew

Przez chaszczę, wiązy, stary las
Wybiegamy: ja i cztery wilki -
Moja przyboczna straż
Tak na jedno oko, księżyc, troje gwiazd
przyplw -
Dzisiaj cię przyniesie po cyplach moich nóg
Na koldrę ciepłych traw
W rozkołysanie bioder



MAREK CHODOWSKI

ROSJA KARCZEMNA, CZYLI ALKOHOL W KRAINIE ŚTOLICZNEJ

*Ty chodzisz pijana
Tyś zbladła jak ściana
Ty moja, ty miła
Wierna i kochana.*

A. Płatonow „Szczęśliwa Moskwa”

Rosjanie często podkreślali i podkreślają, że ich kraju, mentalności, historii, życia społecznego nie można zmierzyć taką samą miarą co reszty Europy. Zastanawiając się, co determinuje i tworzy słynną „rosyjską duszę” odmienność narodowego charakteru tej nacji, możemy przekonać się o słuszności maksymy: „Rosji rozumem nie pojdziesz”.

Przyjrzyjmy się historii alkoholu w krainie *Stolicznej*. Przyjrzyjmy się jak ogromne przestrzenie, surowy klimat, trud egzystencji osławiane były przez alkohol a

dokładniej wódkę. Rozpocznijmy opowieść o niepojmowalnej „Rosji karczemnej”.

O istotnej roli alkoholu w życiu słowiańskiej Rusi może świadczyć przekaz, mówiący, że książę kijowski Włodzimierz wybrał chrześcijaństwo jako religię dla swojego ludu między innymi pod wpływem argumentów mnicha bizantyjskiego, który przekonywał go o wyższości swej nauki. Mówił on, że islam zabrania całkowicie a judaizm częściowo picia alkoholu, natomiast chrześcijaństwo jest wolne o tego zakazu.





Joanna Bukowska

A na Rusi jest' wjeselie piti, nie mozet biez towo byti - miał odrzec Włodzimierz i poprowadził swoich poddanych by ochrzcić się w Dnieprze. Był rok 988 po narodzeniu Chrystusa.

Napoje alkoholowe Słowianie produkowali ze sfermentowanych owoców, jagód, miodu, zbóż. Najpopularniejsze na Słowiańszczyźnie były różnorakie miody i piwa i kwas chlebowy. Wódka na Rusi po raz pierwszy według historyków pojawiła się w 1386 roku, kiedy to na dwór księcia moskiewskiego i włodzimierskiego Dymitra Dońskiego przybyli kupcy włoscy, jadący z Genui na Litwę. Przyjęci gościnnie mieli zrewanżować się „palącą wodą”. Aqua vita (okowita) do tej pory na Rusi nie była znana i wtedy jeszcze nie przyjęła się. Po raz drugi o wódce w Moskwie słyszymy w 1429 roku, za panowania Wasyla II Ślepego ojca Iwana III Srogiego. Był to więc okres końca zależności Rusi od Tatarów i początków

budowy niepodległego Państwa Moskiewskiego.

Początkowo wódka używana była nie jako napój, ale w celach leczniczych i dezynfekcyjnych. Szybko jednak Rosjanie zagustowali w picciu okowity. Wkrótce przestali ją importować i rozpoczęli miejscową produkcję. Prekursorami byli prawdopodobnie mnisi klasztorni. Znane są także przekazy o walce z nielegalnym pędzeniem alkoholu, odnoszące się do 1474 roku, kiedy to w Pskowie wprowadzono zakaz przywożenia podrobionego alkoholu.

Sankcje państwa spowodowane były faktem, że popularność gorzałki dostrzegli także władcy moskiewscy. Już Iwan III jako pierwszy zapoczątkował monopol państwa na produkcję i sprzedaż alkoholu. Także Iwan IV Groźny zadbał o monopol. Później państwo zrezygnowało z pełnego monopolu na rzecz dzierżawy praw do produkcji i handlu alkoholem, za co trzeba było jednak zapłacić państwu. Od własnej produkcji już tylko krok do eksportu. Przyjmuje się, że Rosjanie rozpoczęli handel wódką po 1506 roku, kiedy Moskwa podpisała traktat handlowy ze Szwecją i „palące wino”, jak nazwano towar, pojechało na północ.

Nieocenionym wkładem Rosjan w rozwój produkcji alkoholu były prace chemika Dymitra Mendelejewa. Sporządził on optymalną recepturę i definicję wódki - alkoholu przygotowanego z żytniego zbożowego spirytusu rozcieńczonego miękką źródlaną wodą do 40%, którego jeden litr powinien ważyć równo 953 gramy. W 1894 roku formuła chemiczna wódki została opatentowana i powstała słynna „Moskowskaja osobiennaja” - pierwowzór rosyjskich wódek.

Relacje cudzoziemców opisujących Rosję często zawierają opisy pijaństwa tak niższych warstw, jak i dworu carskiego. Iwan Groźny uwielbiał ponoć upijać do nieprzytomności swoich gości. Piotr I i jego otoczenie znane było z hulaszczego trybu życia i stworzenia „Najbardziej Pijanego Soboru”. W 1716 roku, za jego panowania wprowadzono prawo, według

którego codzienna racja alkoholu przy-
 sługiwała między innymi żołnierzom,
 budowniczym Petersburga, stoczniovcóm
 i robotnikom portowym. Kolejnym
 przykładem pijaństwa na szczytach wła-
 dzy mogą być spotkania organizowane na
 „dworze” obsesyjnie podejrzliwego Józefa
 Stalina, który upijał swoich współpra-
 cowników, licząc, że pod wpływem
 alkoholu powiedzą coś, czego nie odwa-
 żyli by się nawet pomyśleć na trzeźwo.
 Pili także kolejni I sekretarze komunistycznej
 partii i pierwszy prezydent Rosji Borys
 Jelcyn. Wyjątkiem okazał się Michaił
 Gorbaczow i - jak pisze prasa - obecny
 przywódca Władimir Putin.

Tutaj dochodzimy do problemu jaki stanowi
 nadużywanie alkoholu wśród społeczeń-
 stwa rosyjskiego. To ciągle jest jedna z jego
 ulubionych rozrywek. W różnych okre-
 sachs w Rosji próbowano ograniczyć spo-
 życie wódki, a nawet wprowadzić prohi-
 bicję, jak to nazwano po rosyjsku - *suchoj*
zakon.

Próbował Mikołaj II w czasie I wojny
 światowej, także bolszewicy podczas
 wojny domowej pod jakże dopingującym
 hasłem: „Towarzyszu wstań! Przecież na
 kolanach nie będziesz budował komu-
 nizmu”. Ostatnią wielką próbą były rządy
 Michaiła Gorbaczowa. Za ten fakt i upadek
 ZSRR nie jest on jednak w swojej ojczyźnie
 dobrze wspomniany. Były to jednak
 przypadki dość odosobnione.

Pod koniec lat dwudziestych XX wieku Stalin
 miał powiedzieć: „Co jest dla nas lepsze:
 jarzmo zagranicznego kapitalizmu czy
 wprowadzenie wódki? Oczywiście, że
 zdecydowaliśmy się na wódkę, albowiem
 uważaliśmy i uważamy nadal, że jeśli dla
 zwycięstwa proletariatu i chłopstwa
 przyjdzie nam odrobinę powalać się
 błotem, zdecydujemy się na to”.

Zupełnie zdumiewającym epizodem historii
 Rosji jest jednak fakt, że państwo za
 pomocą nakazów przymusowo naka-
 zywało ludziom chodzenie do szynków i
 picie wódki. W połowie XIX wieku handel
 wódką w przeżywał w Rosji kryzys, spo-
 wodowany masowym podrabianiem
 alkoholu. Pojawiła się wódka bardzo złej

jakości, którą lud nazwał siwuchą. Jej cena,
 początkowo niska, znacznie wzrosła. Spe-
 kulacyjna cena i niska jakość siwuchy
 doprowadziła lud do granic wytrzymałości
 i sprawiła, że ludzie przestali ją pić.
 Początkowo sytuacja wydawała się chwi-
 lowa i incydentalna, jednak mimo
 obniżenia ceny knajpy nie zapełniły się.
 Miał oto miejsce za panowania Aleksandra
 II, cara reformatora, który został po prze-
 granej wojnie krymskiej pustki w skarbie.
 Na reformy potrzebował pieniędzy, dlatego
 w 1859 roku wyszło rozporządzenie o
 przymusowym odwiedzaniu szynków, zaś
 cenę wódki podniesiono. Wybuchaly bun-
 ty chłopskie, które stłumiono, cenę alko-
 holu zdecydowano się jednak obniżyć.

Picie mocnego alkoholu w Rosji stało się
 elementem jej historii, kultury literackiej i
 kulinarnej. Według jednej z anegdot w
 1941 roku Stalin rozkazał wyciągnąć z
 łagru starego, jeszcze carskiego generała i
 zapytał co zrobić, żeby utrzymać Moskwę.
 Generał odpowiedział, że Moskwę pomoga
 obronić trzy rzeczy na „S”: słonina,
 suchary, spirytus.

W tradycji polskiej ostatnim kieliszkiem pije
 się *strzemienne*, w Rosji *na pasaszok*, od
 posocha - podróżnego kostura, z którym
 wyruszano w drogę. Kończy się opowieść
 o roli alkoholu w historii naszego wscho-
 dniego sąsiada. Pozostaje więc... *na pasaszok*.



Bibliografia:

1. A. Kuzmiszczew, K historii ruskogo narodnowo „winnowo ducha”, http://www.ng.ru/style/1999-11-05/16_wine.html
2. B. Popija, W starinu zapiwali, a nie zakusywali, http://www.ng.ru/style/2001-11-13/12_vodka.html



WOJCIECH SZMIĄG

1980

przypadkowy bohater nie odkrył niczego
szturmówki łopotąły na plakatach
padły pierwsze słowa

czerwone krzyże otoczone pochylniami
masa krytyczna postulatów z drewna
lubiłem lato, salw nie było

wczoraj w Gdańsku spotkałem Pannę S.
nocą po ćwiartce rozmazany tusz
sierpień bolał jak wtedy

kelnerka rozplynęła się za naszymi plecami
motywowana setką czystego eteru Panna S.
rozchyliła usta i uda pod stolikiem

zapatrzyłem się w twarz siwego barmana
starając się odgadnąć czy strzeliłby
do własnej córki?

świętowanie

formalności świątecznych formalistów czas
zacząć
sacrum zanurzone w śmietanie nabiera
smaku
ciężko pachnie makowiec ironicznych
uśmiechów
wierni szukają wiernych w oparach
drogiego alkoholu

zwracam hostię, oparty o mur klasztoru już
bez treści
cholernie zimno... za wcześnie... za dużo... za
późno?
ciemność kwitnie wokół dotkliwymi
tesknotami

dwa tysiące lat za mną, miliard przede mną
spóźniłem się na nic i nic już nie przyjdzie
ocieram twarz brudnym, ostrym śniegiem
śmieje się, w uszach budzą się bębny
Nawaho

Romek, gdzieś ty się tak spieszył?

zimno i mokro jak cholera, Romek
a ty wybrałeś się na łąkę
za kościołem

dwa znicze dwa zimne żółte kufle
płomień na mokrym lastryko
deszcz

facet, który kradł wczorajsze kwiaty
zapytał - *kolega?*
otworzyłem gronowe wino

kurwa, cały się trzęsę, Romek, w środku,
koleś zniknął, to nic że nie pogadamy,
to nic, śpij